ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.



CZARNY ELEGANT

Nr. 27

7 LIPCA 1934 ROKU

W numerze:

DLA BIBLJOTEK I BIBLJOFILÓW

„PRZEGLĄD POLITYCZNY"

zał. w r. 1924-ym jest pierwszem polskiem czasopismem, poświęconem polityce zagranicznej, w którem zamieszczał swe prace szereg najwybitniejszych polityków polskich i cudzoziemskich, a między innymi: prez. N. Iorga, von Gerlach, prof. Webster, współtwórca paktu Kelloga, prof. Shottwell, d'Ormesson, Settal, William Martin, André Pierre, St. Brice, prof. Gooch, prof. Fournil, H. de Monfort, b. min. Dernburg, mec. L. Berenson, prez. Bukowiecki, red. Chrzanowski, prof. J. Dąbrowski, prof. Br. Dembiński, prof. R. Dyboski, min. Gliwic, prof. M. Handelsman, min. Kętrzyński, radca T. Komarnicki, prof. W. Komarnicki, prof. Kutrzeba, dyr. St. Paprocki, mec. Z. Zagórski, ś. p. sen. Posner, prof. St. Stroński, min. A. Zaleski.

„PRZEGLĄD POLITYCZNY" przekazał te prace naszemu wydawnictwu w 25-u ostatnich pełnych kompletach, zawierających obszerne omówienie wszystkich aktualnych wydarzeń z życia politycznego Polski i zagranicy w ciągu ubiegłego stulecia.

Protokuł Genewski, Locarno, Pakt Briand - Kellog, dokumenty w sprawie Unji Europejskiej, Pakt Małej Ententy, pakty nieagresji, dokumenty w sprawie rozbrojenia i w. in. znajdują na łamach „Przeglądu Politycznego" jaknajszersze omówienie.

Komplety „Przeglądu Politycznego" są więc niezbędne dla bibljotek publicznych i naukowych, dla zbieraczy i studjujących nauki polityczne.

Pragnąc udostępnić swym prenumeratorom i czytelnikom nabycie tego cennego wydawnictwa — redakcja tygodnika „Świat" sprzedaje komplety po specjalnie przystępnych cenach.

Pełny komplet „Przeglądu Politycznego", obejmujący wszystkie zeszyty od r. 1924 do końca 1933 r., którego cena wynosi zł. 218, — **może być nabywany przez prenumeratorów „Świata" po zł. 30, zaś przez czytelników „Świata" — po zł. 35.**

Dla czytelników „Świata", interesujących się poszczególnemi zagadnieniami z życia politycznego ubiegłych lat — cena pojedyńczego tomu oprawnego (półrocznego) — wynosi zł.3 norm. zł. 14), a cena pojedyńczego zeszytu (kwartalnego) — zł. 0.50 (norm. zł. 2.).

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA
ul. Sienna 94, tel. 5.92-80 i 605-92

ŁÓDŹ,
ul. Dowborczyków 9, tel. 206 90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.
Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.
Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.





Dążeniem ludzi jest odwiecznem
Przyjemnie łączyć z pożytecznem;
LOT spełnia świetnie te zadania:
Podróż przyjemna, szybka tania!

PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH, UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" GĄSECKIEGO (z KOGUTKIEM).

SALWATOR

Aptekarza **W. Borowskiego** znany od 50 lat, jako najlepszy środek na **ODCISKI i ZGRUBIENIA SKÓRY**

Żądać w aptekach i składach aptecznych

Skład główny: **„SALBOR"** Labor. Chem.-Farm., **Waliców 11.**

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 27 7.VII.1934

HEKATOMBA CZY PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO



Niedawni przyjaciele: kanclerz Hitler i Roehm (obecnie zabity).

W zwartej współpracy politycznej ze swymi towarzyszami bojowej ideologji narodowo-socjalistycznej sięgnął, zdobył i sprawował władzę A d o l f H i t l e r.

We krwi swoich najbliższych współpracowników Adolf Hitler umocnił swoją władzę!

Czy istotnie umocnił?!

Roehm, Ernst i wielu, wielu innych, którzy dziś „zgodnie" z komunikatem oficjalnym popełnili samobójstwa, lub za których te „konsekwencje"... wyciągnięto; wielu z tych, co radą, ramieniem, słowem i czynem walczyli „z", „dla", „obok" Hitlera — wielu z nich nie żyje; wielu dorobiło się epitetu zdrajcy, wielu znalazło się w więzieniu pod grozą najsurowszych sądów.

Przywódcy, którzy w momencie obejmowania władzy posłali masowo swych przeciwników politycznych do obozów koncentracyjnych, więzień lub na śmierć, sami zniknęli w murach więziennych, lub padli *zastrzeleni*. Komunikaty niemieckie wprowadziły nowy termin w walkach politycznych: „zastrzelony".

Bez sądu! Nawet bez dekoracji rozstrzelania — ot, poprostu został zastrzelony! została zastrzelona... bo osłaniała męża.

We krwi swoich najbliższych Hitler umocnił swoją władzę!

Czy istotnie umocnił?!

Opinja międzynarodowa zgodnie twierdzi, że jeśli na razie rzeczywiście fizycznie zwyciężył Hitler i władzę utrzymał, to jednak



Zabity podczas rewolty w Berlinie dowódca szturmówek Ernst.

w gruncie rzeczy polityczne i ideowe znaczenie jego autorytetu zmalało.

W krwawej łaźni, jaką *swoim* zwolennikom, wyznawcom i współpracownikom sprawił Hitler, dzięki „wierności" Reichswehry, Göeringa, Lützego, Blomberga i innych — autorytet Hitlera musiał ucierpieć. Władzę utrzymał, ale „dzięki" tym — *dziś najwierniejszym!*— W konsekwencji więc w przyszłości władzę tę będzie musiał z nimi dzielić, lub ich radom podporządkowywać się.

Czyż ci, których zastrzelono po nieudanej namowie do samobójstwa, czyż oni właśnie parę miesięcy temu, miesiąc może wstecz — nie byli również najwierniejszymi?!

Przy podziale łupów zdarza się, że „wierni" chwytają za maczugę, a łupem obecnie zwycięskiej naczelnej szturmówki Niemiec stała się władza!

Przy jej sprawowaniu, przy jej pełnieniu, zwycięski kanclerz może być zmuszony często do przypominania sobie historji pewnego Pyrrusa, który... który też zwyciężył.

„Rewolta" niemiecka, jej krwawy epilog, nasuwać musi szereg refleksji i wniosków politycznych.

Odsłoniła ona przedewszystkiem, że Hitler nie jest owym legendarnym wodzem, nie jest ideologicznym symbolem, że dystans moralny, polityczny i autorytetu między Hitlerem a jego współ-wodzami nie jest odległy.

Władza, autorytet i znaczenie Mussoliniego we Włoszech i dla Włoch były i są tak niepomiernie wyższe od wszystkich jego współpracowników, że tam myśl, aby być mu równym, była i jest wykluczona wśród nich bezapelacyjnie.

Ten dystans ideologiczny sprawił, że byłoby nie do pomyślenia, aby tam towarzysze walk targnęli się na władzę swego wodza.

„Rewolta" niemiecka odsłoniła, że głównym motorem rozpędu hitlerjan było pożądanie władzy i zakres tego posiadania już nietylko w narodzie, ale *nad* własną partją. Młodzi przywódcy szli za Hitlerem, ale w głowach ich tkwiła stanowcza pewność, że *nie musi* być tak zawsze, że — może przyjść chwila, iż on może *im* tylko dotrzymywać kroku.

Teraz wśród tych, co... pozostali, ta pewność będzie się tylko potęgowała. Są oni równi wśród równych.

Dziś pytanie, dlaczego Hitler a nie gen. Blomberg lub Göering, jest najzupełniej uzasadnione.

A skoro mit prymatu runął, to wszystko jest możliwe. Równi z równymi mogą nierównie krwawiej walczyć o władzę niż to było ostatnio.

Korespondenci prasy zagranicznej przebywający w Berlinie twierdzą, że nie są wykluczone możliwości restauracji monarchji, że wraz ze zwycięstwem Reichswehry ukazują się na horyzoncie wpływy nacjonalistycznej reakcji, junkrów i takiego czy innego Kaisera.

Oznaczałoby to, że konserwatywnie - nacjonalistyczne Niemcy wracają jako rzeczywistość. Ta rzeczywistość byłaby podwójnie niebezpieczna. Wraz z nią bowiem międzynarodowe czynniki, „wierzące" w *umiarkowane* konserwatywne Niemcy, Niemcy o *przezornym* języku dyplomatycznym, zapragnęłyby na terenie polityki międzynarodowej dopomóc utrwaleniu się tych *rozsądnych* Niemiec. Moglibyśmy więc znowu słyszeć dyplomatyczne trele iluzji i złudnych ufności udzielanych Niemcom na kredyt. Moglibyśmy się stać świadkami, iż o zmniejszenie izolacji Niemiec, z takim talentem osiągniętej przez Hitlera, zabiegaliby dyplomatyczni ufnisie z nad brzegów Tamizy, Sekwany, Lemanu i Atlantyku. Dawne hasło: „pomagajcie zamierzeniom i tendencjom pokojowym Stresemanna, Brüninga, Schleichera, Papena, bo... przyjdzie Hitler", mogłoby się w tym wypadku zmienić na: „nie bądźcie twardzi, nieustępliwi dla międzynarodowych wymagań Reichswehry, dla „umiarkowanych" Niemiec... to odejdzie Hitler"!

I jedno i drugie wierzenie było lub byłoby błędne, fałszywe i zgubne. Niemcy Stresemanna i Hitlera jednakowo chciały się dozbrajać! Tak samo chciały zmieniać granice, choć innym językiem mówiły. Jeśliby więc przewidywania dziennikarzy zagranicznych o możliwości powrotu do władzy Niemiec konserwatywno - nacjonalistycznych były trafne, to zapowiadałyby one powrót najniebezpieczniejszych Niemiec!

L. Chrzanowski.

„Zastrzelony" podczas rewolty Roehm.





Tryumfalny wjazd Adamowiczów do Warszawy Fot. J. Ryś

Auto Adamowiczów poprzedza auto prez. Ołpińskiego i Pohoskiego.

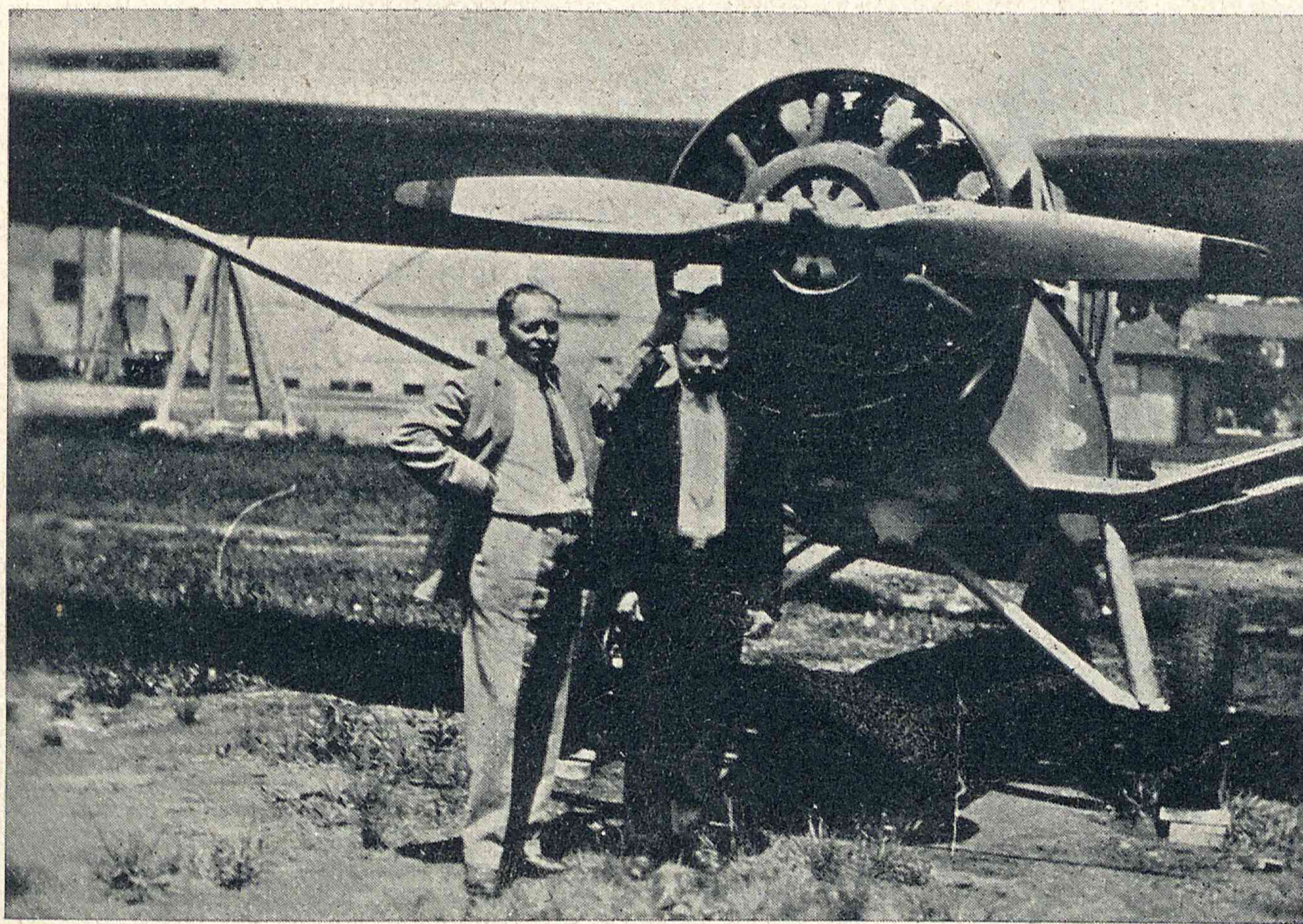
POLSKIE ZWYCIĘSTWO NAD ATLANTYKIEM

Po raz drugi lotnictwo polskie okryło się chwałą zwycięstwa nad Atlantykiem. Po zeszłorocznym locie kpt. Skarżyńskiego tym razem zwyciężyli olbrzymie trudności i Atlantyk Północny dwaj emigranci, piloci-amatorzy, bracia Józef i Bronisław Adamowicze. Lot ich to nietylko wyczyn sportowy, to wspaniały dowód energji, wytrwałości i ambicji. Bez pomocy magnatów przemysłu lotniczego, dwaj stęsknieni do kraju emigranci z Wileńszczyzny w szarych swetrach i za własne pieniądze spełnili swój sen: Lotu do Ojczyzny.

Marzenie swoje ziścili.

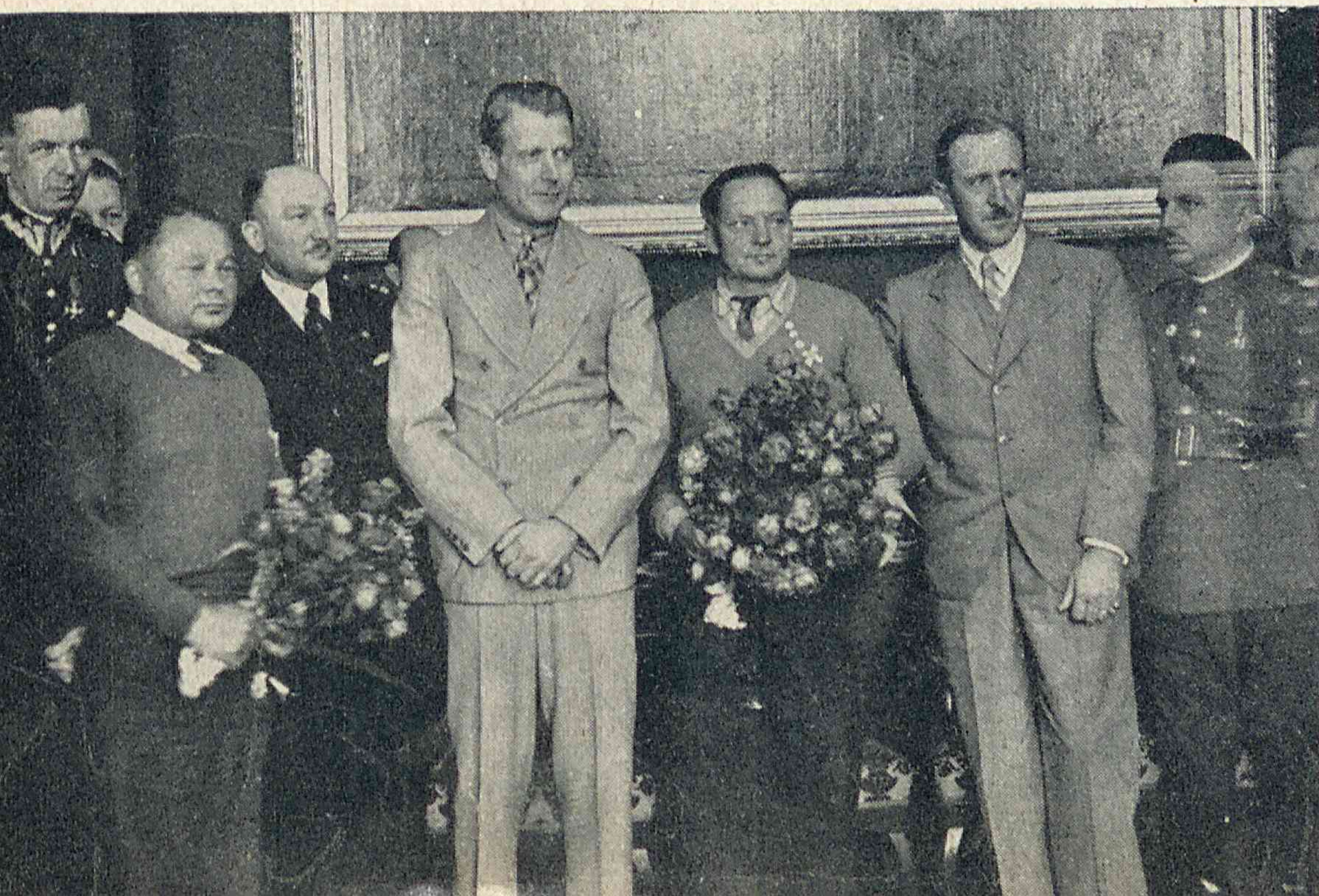
Polsce przysporzyli chwały!

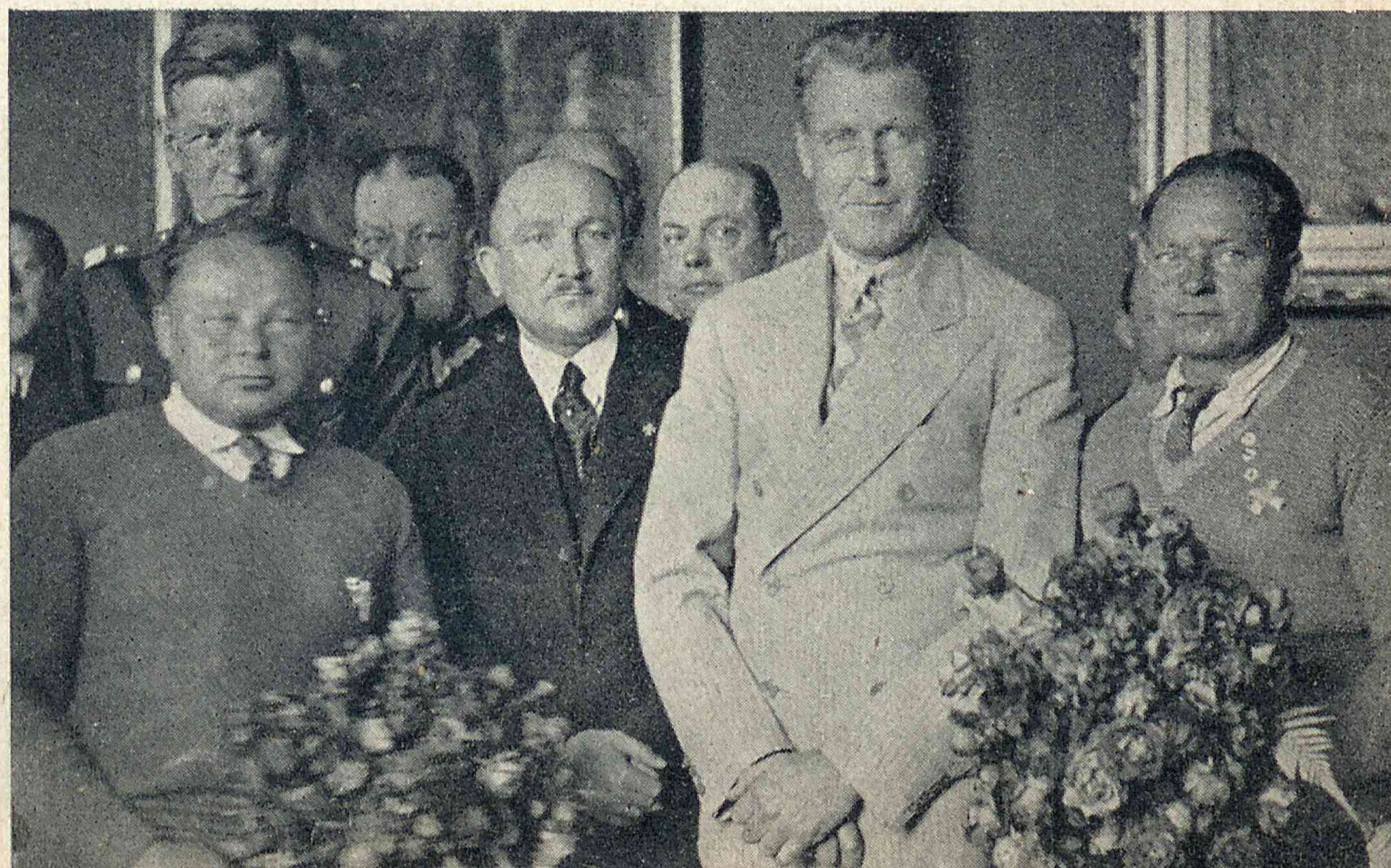
Słusznie entuzjazm tłumów bił w niebo okrzykami radości, słusznie witano ich jak tryumfatorów.



Bracia Adamowicze przed aparatem na chwilę przed startem do lotu atlantyckiego.

Przyjęcie bohaterskich zwycięzców na Ratuszu w stolicy. Stoją od lewej do prawej: gen. Rayski, B. Adamowicz, prezyd. Ołpiński, amb. Cudahy, J. Adamowicz, wicemin. Al. Bobkowski, gen. Jarnuszkiewicz.







Fragment pałacu Łazienkowskiego w Warszawie. Fot. Photo-Plat

PIĘKNO STOLICY

Warszawie wszyscy mamy coś do zarzucenia.

Jedni wyczarowali sobie stolicę Polski jako miasto piękna i siły i ci boleją nad odległością rzeczywistości od ideału.

Ci najszlachetniejsi krytycy, to równocześnie najbardziej jej oddani obywatele. W słowach krytyki tej kategorji „rozczarowanych" jest miłość, jest przywiązanie do miasta, jest pragnienie, by stolica doskonaliła się, upiększała. Inni, to ci, co Warszawę poznali już, albo dopiero, jako stolicę. Ci „bywalcy" *wiedzą*, że w Wiedniu *to* jest estetyczniejsze, w Berlinie *tamto* praktyczniejsze, że w „Pitrze" *owo było* z większym rozmachem, że *wszystko* w... Paryżu... nno, co tu gadać, „kudy jej do Paryża".

Snobizm i „znawstwo" światowe wiele tu mają do odegrania.

Warszawa!

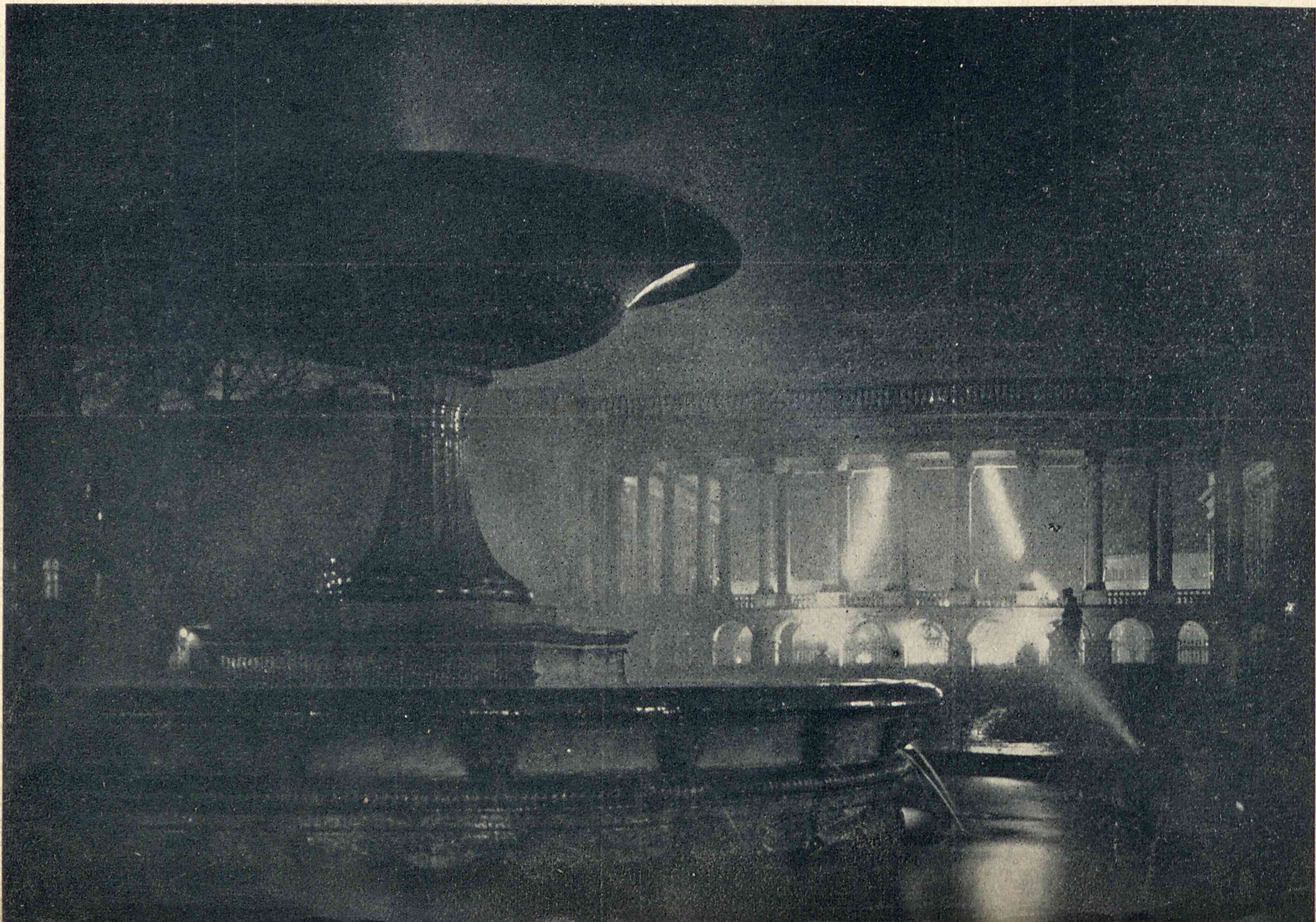
Miasto, którego rozwój obcęgami budowlanej niewoli ujmowały przepisy pasa fortecznego. Miasto, którego piękno przeszłości zamurowano (Pałac Staszyca), zmieniając bibljoteki w stajnie (Zamek), którego rozwój tamowano, a szpetotę szerzono!

Serce Polski chciano przytłoczyć kopułami.

Dziś to znikło.

Wszyscy chcemy wznowić piękno War-

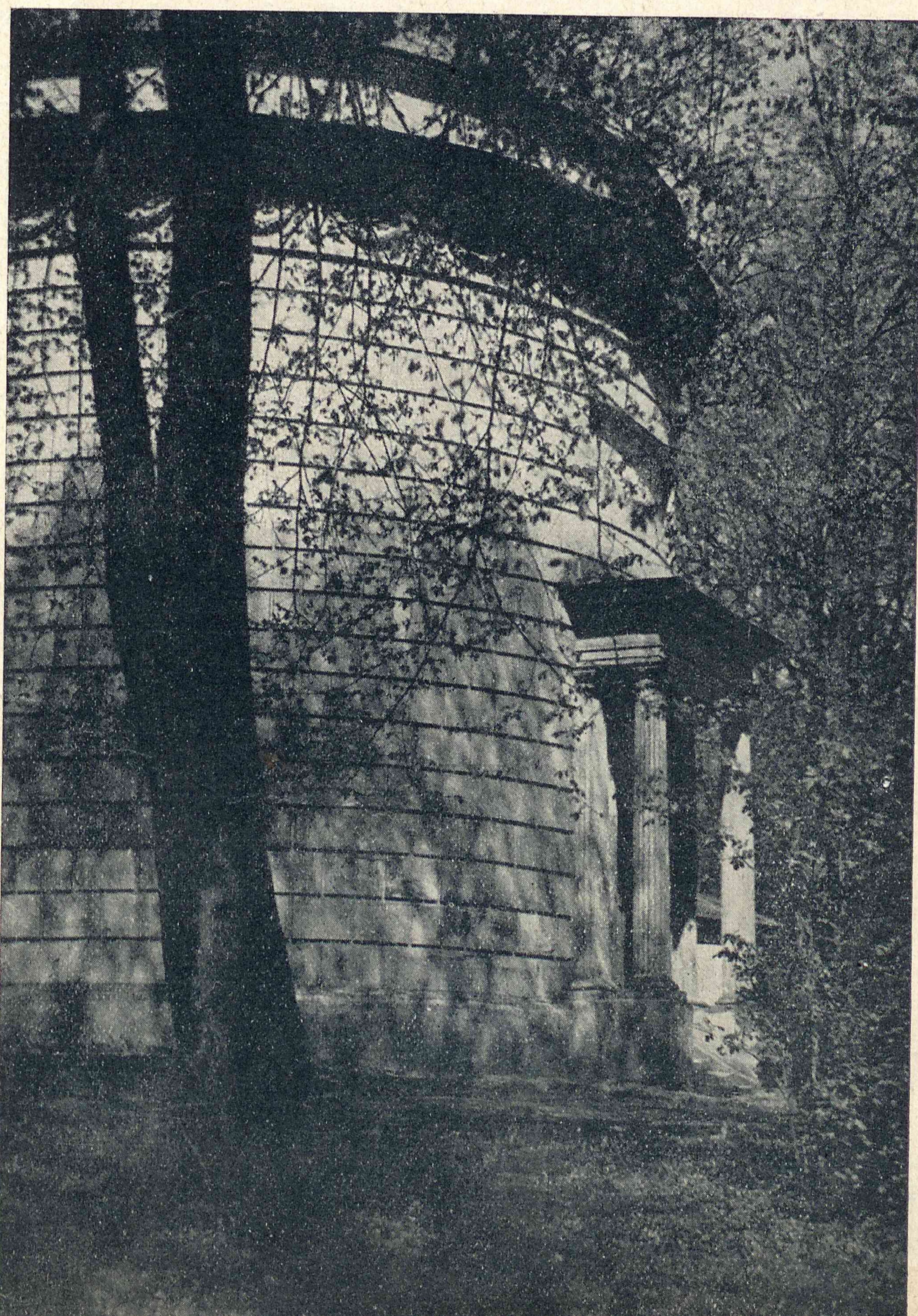
Iluminacja Grobu Nieznanego Żołnierza od strony Ogrodu Saskiego. Fot. Photo-Plat





Pałac Rady Ministrów od strony ogrodu. Fot. Photo-Plat

Fragment Łazienek. Fot. Photo-Plat



szawy, wszyscy przyczynić się do jej rozwoju artystycznego, do jej odrodzenia architektonicznego. Warszawa jest miastem nieskomponowanem urbanistycznie. W tym zakresie wiele można ocalić, wiele naprawić. Bo Warszawa posiada pokaźną ilość fragmentów istotnie wartościowych, istotnie pięknych.

Zaczynają żyć one, kiedy artysta na nie spojrzy i wydobędzie ich czar! — urodzony warszawiak często nie wie, że ma tuż obok tak piękne zakątki. Czyż nie najlepszem tego zwierciadłem będą załączone przez nas obok fragmenty stolicy?

Dla szerzenia kultu Warszawy, dla pracowania nad jej rozwojem w zakresie piękna powołany do życia Związek Propagandy Turystycznej wiele pragnie uczynić, nakreśliwszy sobie program szeroki i dobrze skonstruowany.

Tymczasowy prezydent Warszawy, p. Minister Marjan Zyndram - Kościałkowski w tych dniach zamierzenia te scharakteryzował przed prasą w krótkiem, jędrnem przemówieniu. Panowie prof. Loth — (wiceprezes związku) i Jeżewski (dyrektor Związku) program ten szerzej rozwinęli.

Odezwa, którą zamieszczamy na str. 8-ej, maluje intencje Związku. Przyklaskujemy jaknajgoręcej szczęśliwej inicjatywie. W myśl słów prezydenta Kościałkowskiego, nie poprzestaniemy na obojętnej obserwacji, postaramy się natomiast czynnie poprzeć poczynania Związku.

RZEŹBY PORTRETOWE NA ZAMKU

T. MAŃKOWSKI. „Rzeźby portretowe w bronzie na Zamku Królewskim w Warszawie". Nakł. Dyrekcji Państwowych Zbiorów Sztuki. Warszawa 1934.

Niewielka broszurka: dwadzieścia stron tekstu polskiego, pięć francuskiego streszczenia i dwadzieścia kilka znakomitych ilustracyj. Rozmyślne skondensowanie faktów i dokumentów: przykład dla gadatliwych nagół historyków sztuki, jak pisać należy pracę tego rodzaju, w której nie chodzi o to, co autor o danem dziele sztuki *myśli*, ale o to, jak ono *powstało* i jak *wygląda*. (Rzecz zawsze dla szerokiej publiczności ciekawsza, niż teoretyczne rozważania).

Bez żadnych frazesów przystępuje autor od pierwszego zdania do tematu, t. j. do dziejów powstania dekoracji „Sali Rycerskiej" na Zamku Królewskim, a specjalnie serji cennych artystycznych bronzów, przeznaczonych dla tej sali, nad których powstaniem i wykonaniem czuwał osobiście Stanisław August.

André le Brun. Jan Szembek

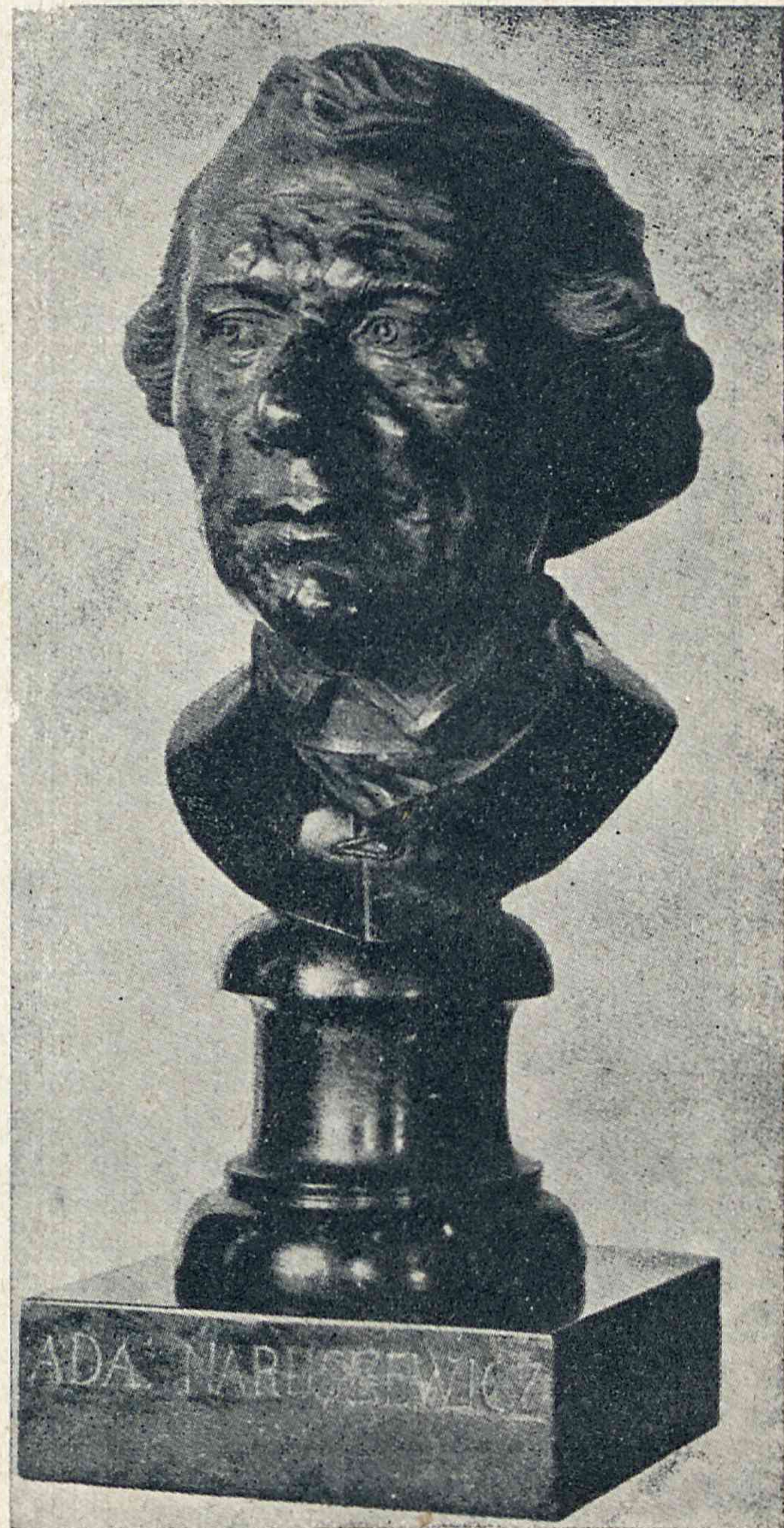


Sala rycerska, wchodząca w skład t. zw. za czasów Stanisława Augusta „grands appartements" jest obok Sali assamblowej i Sali jadalnej (dawnej sali rady) — jedną z najważniejszych sal na Zamku. Królowi zależało specjalnie na nadaniu jej charakteru nietylko artystycznego, ale i dydaktycznego, ku czemu zmierzało ozdobienie sali popiersiami wielkich mężów stanu, uczonych, poetów, wojowników, najbardziej dla Rzplitej zasłużonych.

Projekt zasadniczy dekoracji sali obmyślił król osobiście, jak o tem świadczą notatki. Szczegółowe zaś jego opracowanie powierzane było kolejno kilku artystom, co dowodziłoby, że Stanisława Augusta niełatwo było zadowolić. W roku 1766 powstało opracowanie pierwsze, wykonane przez Wiktora Louisa w Paryżu. Drugie, z roku 1768, dał Jakób Fontana. Dopiero trzecie jednak, Dominika Merliniego, z r. 1781, zostało przez Stanisława Augusta akceptowane. Wybór postaci, których portrety w bronzie miały dopełniać dekoracji, podlegał, rzecz jasna, również wyłącznie decyzji królewskiej. Bronzów tych miało być początkowo 28, z czego cztery wielkie popiersia Pawła Sapiehy, Jana Zamoyskiego, Stefana Czarneckiego i Stanisława Jabłonowskiego. Mniejszych projektowano 24, ale wykonano tylko 18.

Ustaliwszy osobistości portretowanych, polecił król dokonać poszukiwań sztychów, na których miały być wzorowane bronzy. Niewielu bowiem współczesnych zaliczono do tego grona zasłużonych, przeto tylko portrety Naruszewicza, Poczobuta i Konarskiego mogły być wykonane z natury. Są to zapewne dzięki temu wśród wszystkich tych głów pełnych charakteru najwymowniejsze, najbardziej bezpośrednie. Jednak i pozostałe odznaczają się głębokim wyrazem, czasem żywszym nawet, niż na sztychu, z którego rzeźbiarz czerpał natchnienie.

Dwaj artyści projektowali tę słynną serję portretów: Francuz André le Brun i Włoch Giacomo Monaldi — (tego ostatniego udział ograniczył się zresztą do czterech lub pięciu głów najwyżej). Po wykonaniu modelu w glinie i zaaprobowaniu go przez króla, przechodził on dalej przez ręce kilku specjalistów. Więc przedewszy-



André le Brun. Adam Naruszewicz

stkiem według modelu z gliny wykonywał formę Włoch, Christofano Davino, zwany „formatore" z włoska, a po francusku „mouleur". Z formy dokonywał odlewu woskowego inny rzeźbiarz królewski, Franciszek Pinck. Według odlewu woskowego odlewał rzeźbę w bronzie t. zw. z niemiecka „giser" (po francusku „fondeur"), a był nim wówczas Niemiec, Johann Dietrich, dopisujący na rachunkach pod nazwiskiem tytuł swój: „königlicher Stück-Giesser". Wreszcie wykończał pracę jeden z królewskich cyzelerów, Jan Düldt, Maksymiljan Kibitz lub Brukner.

Gdy popiersia były już gotowe, jeszcze jeden specjalista, Józef Schopfer wykonywał postumenty z czarnego marmuru, umieszczał napisy, stwierdzające, kogo dany portret przedstawia, i ukończone dzieło ustawiano w Sali rycerskiej. Król - mecenas, jak widać, posiadał cały zespół artystów różnych narodowości (Włosi, Francuzi, Niemcy i Polacy) — między których rozdzielał poszczególne fazy wykonania zaaprobowanych dzieł sztuki.

Po szczegółowem przedstawieniu przebiegu prac nad bronzami zamkowemi, T. Mańkowski daje krótką ich ocenę artystyczną, słusznie podkreślając niezwykłe walory charakterystyki głów, dalekie

od klasycystycznego konwenansu, z jakim często traktowano oficjalne portrety w owym czasie. Doskonałe zdjęcia wszystkich omawianych rzeźb dopełniają dziełka T. Mańkowskiego. Niewątpliwie każdy czytelnik tej ciekawej broszury przy pierwszej okazji zechce zobaczyć omawiane bronzy własnemi oczami — i w tem leży największa zasługa tego wydawnictwa: przez treściwe, sumienne lecz przystępne zaznajomienie publiczności z pewnemi dziełami sztuki stwarza się zainteresowanie, które z czasem przejść może w zamiłowanie i znawstwo. Jest to jeden z najlepszych sposobów wytworzenia kultury artystycznej w Polsce. Dlatego życzyćby należało, aby Dyrekcja Zbiorów Państwowych, która tę wartościową pracę nadzwyczaj starannie na pięknym papierze wydała, podjęła w szerszym zakresie działalność wydawniczą tego typu. Byłoby to z wielką korzyścią może nawet dla samych Zbiorów Państwowych, których skarby poznanoby szerzej i dokładniej, niż z jakiejś sporadycznej wizyty w towarzystwie przygodnego cicerone.

Z. N. Ch.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Niemcy w ostatnich dziewięciu latach doprowadziły stan swojej marynarki wojennej do 150.000 ton. Tonaż szwedzkiej marynarki wojennej wynosi około 90.000 ton. Marynarka duńska w ciągu ostatnich lat zmodernizowała swoją flotę. Finlandja, licząca zaledwie 3,5 miljonów ludności, w ciągu ostatnich czterech lat kosztem 80 miljonów zł. wybudowała nowe jednostki bojowe; wszystko to dokonane zostało przy współdziałaniu społeczeństwa. Polska niestety stoi na szarym końcu, wyprzedzając jedynie Łotwę.

Dziesięciokrotnie mniej liczny naród fiński zdobywa się rok rocznie na ofiarę 20.000.000 zł. na cele obrony morskiej, — my natomiast pragniemy dopełnić nasz budżet państwowy sumą tylko 7.000.000 zł.

Rzucamy przed oczy społeczeństwa polskiego te cyfry, tak wymowne, że komentarzy nie potrzebują.

Nie wątpimy, że znajdą one w społeczeństwie oddźwięk i uświadomią o konieczności poparcia wszelkiej akcji, zmierzającej do stworzenia i u nas odpowiednio silnej floty.

Fundusz Obrony Morskiej, który mocą uchwały Rady Ministrów powstał dnia 20.I. 33 r. i został przekazany Lidze Morskiej i Kolonjalnej, pełni służbę społeczną, gromadząc potrzebne do budowy floty wojennej kapitały.

„Bis dat, qui cito dat", a że dać trzeba, rozumie to każdy, komu droga jest wolność i bezpieczeństwo ojczyzny. Ofiary składać należy na konto P. K. O. Nr. 30680.

Śmierć kabotyna

Ameryka lubi pouczać europejczyków o swej cywilizacyjnej wyższości.

Takiego aktu „wyższości" dokonał kabotyn z Bostonu — Maxim Ditch.

Młody ten a bogaty młodzieniec, znużony życiem, postanowił dokonać samobójstwa. Ditch poza fortuną i młodością nie odznaczył się niczem—postanowił więc, aby choć „oryginalna" śmierć wyróżniła go z pośród „maluczkich".

Pomysł Ditch'a polegał na tem, aby zginąć w pojedynku z samym sobą. Urządził więc w swym ogrodzie strzelnicę. Tarcza w tej strzelnicy została tak skonstruowana, iż jej punkt środkowy został połączony z automatem „trzymającym" rewolwer. Rewolwer był wycelowany z matematyczną dokładnością w serce stojącego na mecie. Trzeba było tylko trafić w samo centrum celu. Kiedy aparaty były ukończone, Ditch stanął nonszalancko na mecie. Padło osiem strzałów, zanim kabotyn - samobójca trafił w centrum tarczy. Za ósmym strzałem sprężyna automatu odpowiedziała. Rewolwer wypalił — kula przeszyła serce Ditcha. „Wynalazca" padł trupem — dzienniki amerykańskie poświęciły szpalty „oryginałowi", reklamka była. W salonach i barach girlsy, gwiazdy i gangsterzy mieli temat do zachwytów.

Dyktatura uśmiechu

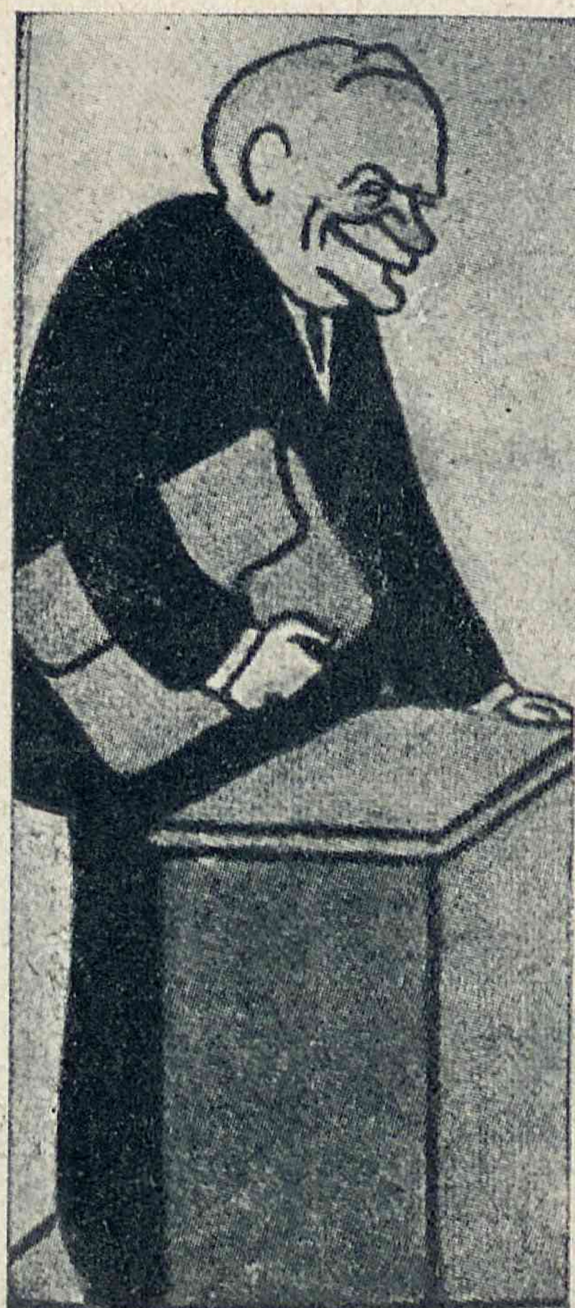
(*z*) Podczas ostatniej wielkiej debaty w parlamencie francuskim prezydent Doumergue, przemawiając, dał zlekka do zrozumienia, że w razie głosowania posłów przeciw rządowi gotów byłby zastosować rozwiązanie parlamentu.

Słowa te, ukryte jak skromne bratki w wiązance kwiecia oratorskiego premjera, wywołały poruszenie wśród posłów. Po głosowaniu już w kuluarach parlamentu kilkudziesięciu posłów otoczyło Doumergue'a, zapytując, co znaczyły jego aluzje i czy istotnie była to pogróżka.

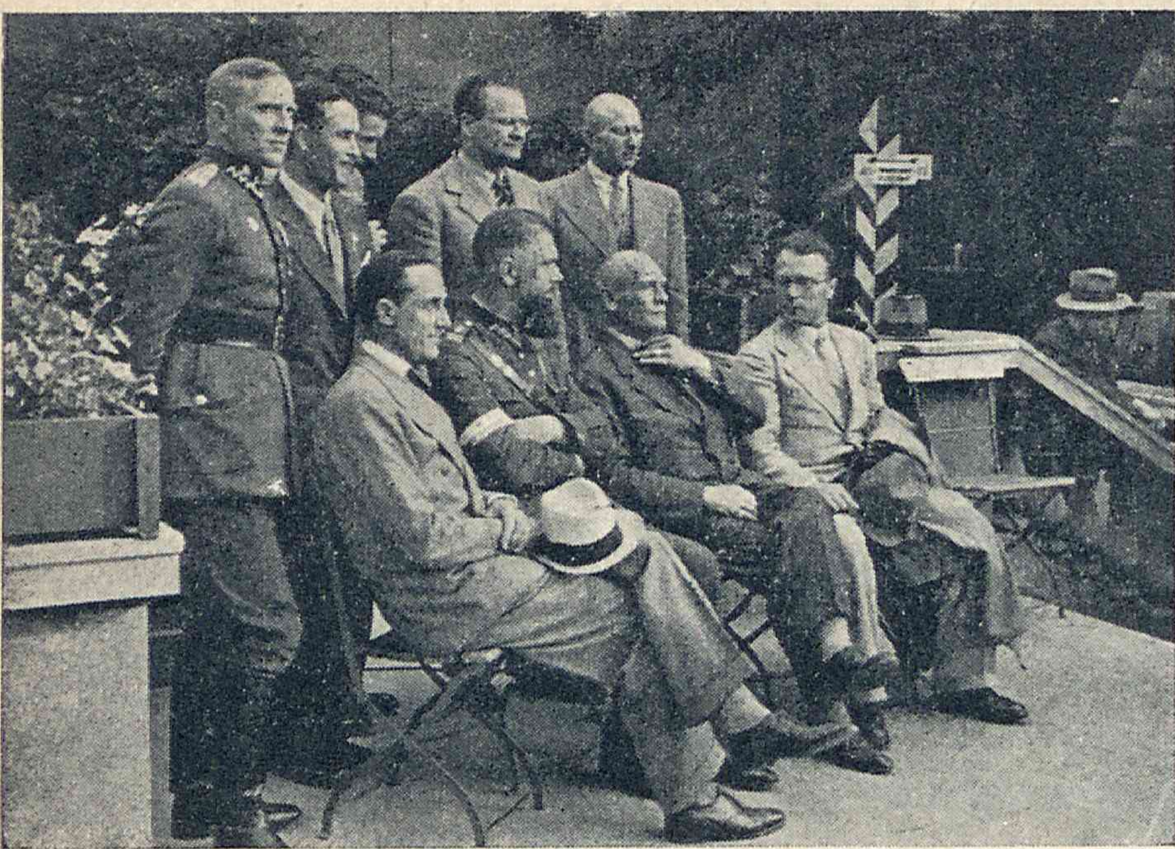
„Moi drodzy — odparł ze swym zwykłym uśmiechem Doumergue — jeśli mnie obalicie, zwrócę się do Senatu o rozwiązanie Izby. A jeśli senat nie przychyli się do mego żądania, to do dymisji się nie podam, bo nie chcę być odpowiedzialny za nieład, walki i zaburzenia, któreby były następstwem dymisji mego rządu, rządu narodowego porozumienia."

— Ale skąd pan weźmie ministrów do tego niekonstytucyjnego rządu—wykrzyknął jakiś zapaleńszy poseł radykał.

Prezydent Doumergue łagodnym ruchem ręki utorował sobie drogę wśród otaczających go posłów; ogarnął ich swem dobrotliwem spojrzeniem, a jego uśmiech stał się szerszy, jowialniejszy, niż zwykle...



Uśmiech Doumergue'a



Pułk. Bałaban w otoczeniu krajowych i zagranicznych fechtmistrzy. Siedzą od lewej: 1) Nado Nadi (Rzym), 2) pułk. Bałaban, 3) Lineman — Kraków, 4) dr. Dirnelli — Budapeszt. Stoją: Radke, Beke, Hoffa. Szambathely (Węgry), Koza (Katowice).

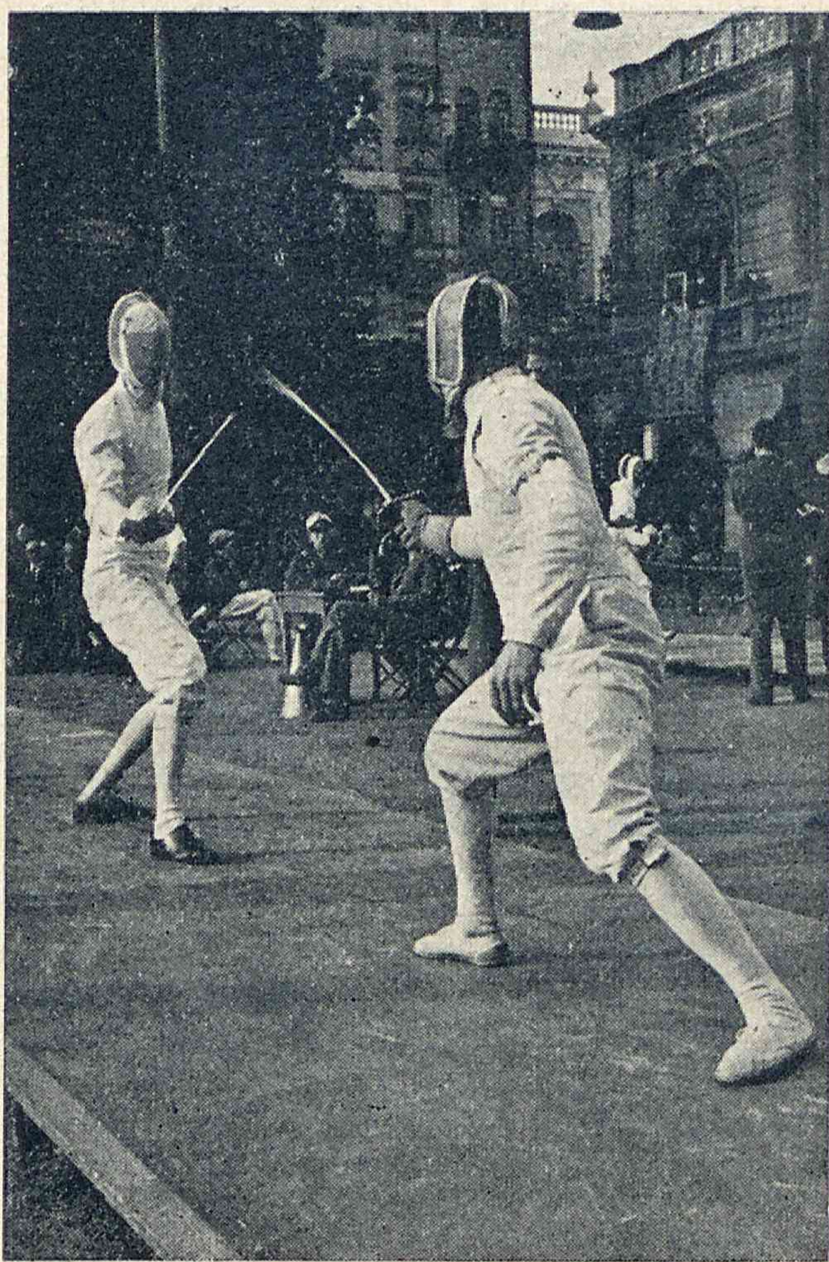
Żałoba polskiej Nauki

(—) Znakomita uczona polska Maria Curie-Skłodowska nie żyje! Śmierć Jej okrywa żałobą całą intelektualną Polskę. Wielka uczona nasza była nietylko wyjątkowym umysłem, imponując intuicją i wiedzą naukową — ale była również przykładem wytrwałości, która nie znała granic ni ofiar, gdy trzeba było sobie wywalczyć drogę do wiedzy. Często o głodzie i chłodzie szła ś. p. Marja Curie-Skłodowska po swej drodze ku epokowemu odkryciu—radu. Szczęściem Jej było, że pracą pchnęła świat nauki na nowe tory.

Walczyła i pracowała nie dla sławy lecz dla czystej, najwznioślejszej idei nauki i dobra ludzkości.

U jej trumny w żałobnym hołdzie chylą się głowy całej Polski.

Fot. Koch



Najlepszy polski szermierz kpt. Segda bije Włocha Martano 5:2.

„Dom Rotszyldów"

(s.) W sali Paramount'a odegrano film zatytułowany „Rothchild".

Inny jednak, mający sensacyjny tytuł „Dom Rotszyldów", robiący furorę i zbierający oklaski w Ameryce, od wielu miesięcy oczekuje na aprobatę cenzury.

Różnica polega na tem, iż w filmie wystawionym bohaterem jest robiący „bombę", „zawiany" bulwarowiec, noszący tylko identyczne nazwisko z bankierami świata, a w filmie amerykańskim przedstawione są „początki" tej znanej rodziny.

Cenzura paryska nie chciała wywołać niezadowolenia Rotszyldów francuskich i obawiała się manifestacji antysemickich.

Paryż nie ujrzy: „Domu Rotszyldów". No ale ma zato parę oryginałów. Widzi ich czy to na wyścigach, czy w Operze, czy na galowych przyjęciach.

Piękno Warszawy

W Warszawie powstał i w tym tygodniu oficjalnie zaczął działać Związek Propagandy Turystycznej. Tej doskonale pomyślanej inicjatywie poświęcamy artykuł „Piękno stolicy". W tem miejscu podajemy tylko odezwę p. prez. Kościałkowskiego i dyr. Jeżewskiego. Brzmi ona następująco:

„Obywatele Warszawy!

Każdy z Was dba o wygląd swego domu, upiększając w miarę możności jego wnętrze.

Nie zapominajcie, że domem Waszym jest przedewszystkiem Warszawa!

Nazywają ten dom Wasz ponurym, brudnym i bez charakteru. Zarzucają mu zacofanie i brak widocznego postępu, zapominając, że przeszło 100 lat niewoli wstrzymało jego rozwój.

Posądzają Was o brak przywiązania doń i obojętność dla jego spraw.

W Waszej jedynie mocy leży możliwość zmiany tej opinji. Od Waszych dobrych chęci zależy dobre imię Waszego miasta.

Bądźcie patrjotami Warszawy!

Wzywamy Was wszystkich do uczestniczenia w akcji, jaką podjęliśmy, aby Warszawę uczynić godną imienia stolicy Polski.

Bądźcie uprzejmi i uczcie innych uprzejmości!

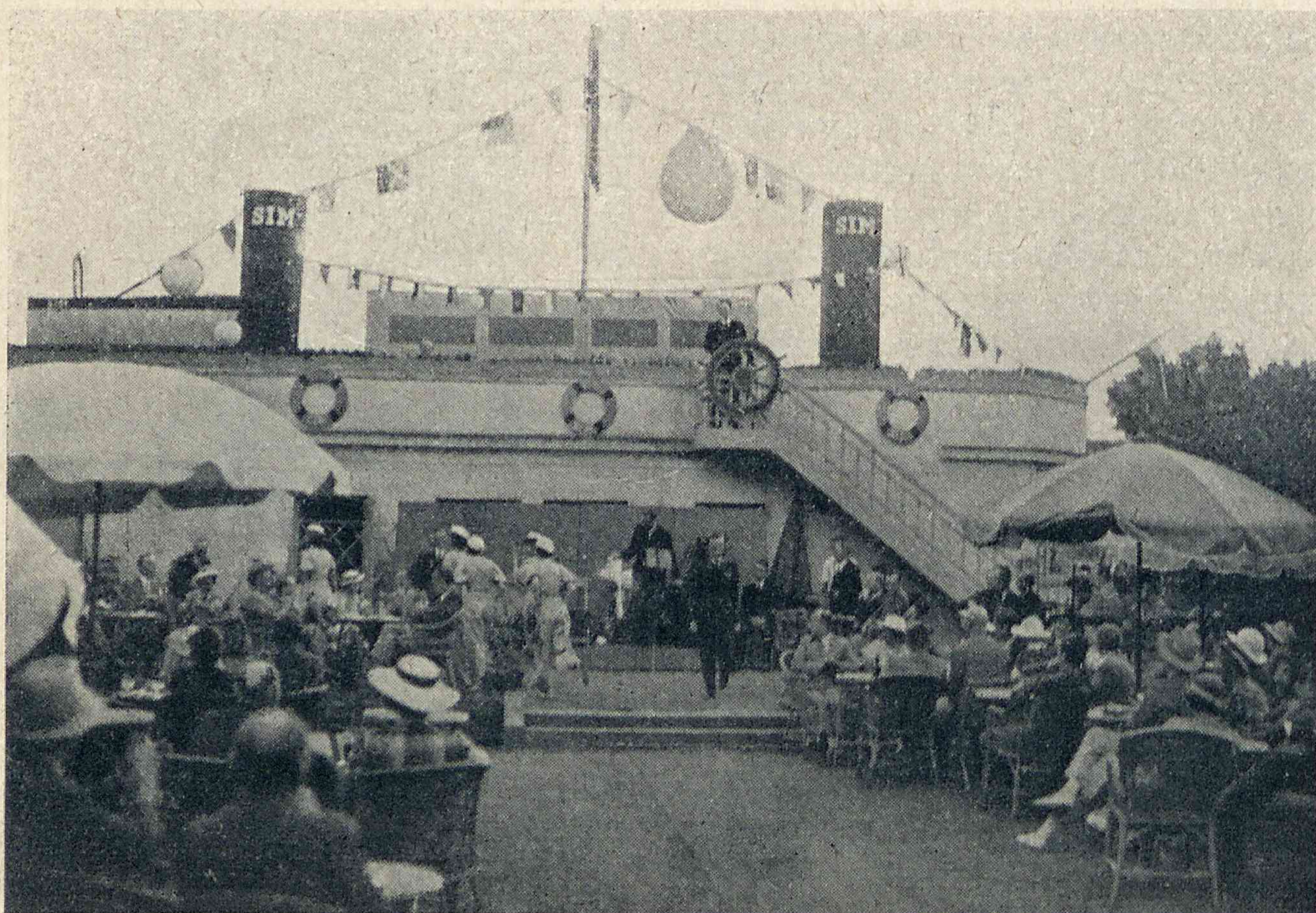
Z życzliwością odnoście się do każdego turysty, aby wyjechał z Warszawy oczarowany miastem i jego mieszkańcami.

Dbajcie o czystość ulic i ogrodów!

Niech okna i balkony Wasze zdobią kwiaty, tak jak się to widzi gdzieindziej.

Nie żądamy od Was pomocy finansowej, lecz moralnego poparcia. Wasza współpraca ułatwi nasz wysiłek i wielki cel, do którego dążymy, zostanie w pełni osiągnięty.

Stańmy wszyscy do walki o zmianę wyglądu i nastroju stolicy naszej, tak, abyśmy się jej wstydzić nie potrzebowali ani przed sobą, ani przed obcymi!"



Okręt SIM zakotwiczony w środku Warszawy Fot. J. Ryś

STEFANJA JANKOWSKA

WRAŻENIA Z MAROKKA

Tanger. Czterdzieści lat temu jedyne miasto starego Imperjum szeryfów, łatwo dostępne dla Europejczyka. Naturalnie telegrafu nie było. Poczta, zależnie od stanu morza, przybywała lub nie; paru turystów, paru komiwojażerów, czasem kilku oficerów z Gibraltaru na polowania na dziki, które w gąszczach pod miastem żyły. Ówczesne życie, opromienione jedynie wdziękiem tajemniczym — gniazda dawnych piratów — zastąpione zostało obecnie atmosferą wielkomiejską — ozdobione okropnemi budowlami nowoczesnemi, których brzydoty nic nie jest w stanie usprawiedliwić. — Mimo to... i tu odnaleźć można czar pierwszego kontaktu z Afryką.

Pomiędzy wiecznie zielonemi dębami, gajami pomarańczowemi i oliwnemi, w spacerze na wzgórzach dominujących nad morzem, rozpłynięty w błękicie—od brzegów afrykańskich do Hiszpanji — ujżysz jeden z obrazów, który od najdawniejszej starożytności rozpłomieniał wyobraźnię ludzką.

Wyjdź rankiem, owianym lekkim pachnącym wietrzykiem. Lazur nieba i morza cię otoczy — u stóp twych agawy w błękitnem powietrzu ciemne swe kandelabry zarysują — aloesy lance swe nastawią. Jesteś tu w przedwiecznej siedzibie Atlasu. Te pomarańcze, które niedbałą ręką zrywać będziesz — nie trwożąc się, że smok o stu głowach ci się ukaże — to jabłka złote Ogrodu Hesperyd.

* * *

Casablanca. — Casa, jak się tam krótko mówi, była trzydzieści lat temu czemś w rodzaju wielkiej osady o 20-tu tysiącach leniwie żyjących tubylców, ożywiających się raz na rok na miesiąc, gdy mieszkańcy żyznych bledów zboże i bydło im na sprzedaż zwozili.

W 1907 roku wylądowali marynarze francuscy. I oto w jednej chwili ten zapadły kąt świata ogarnięty został nieprawdopodobną gorączką spekulacyjną. Budowle, place, większe tereny przechodziły z rąk do rąk, przerzucane jak piłki — były łupem tego, kto mądrzej chwytał. Widziało się sprzedawców gazet stających się miljonerami w ciągu paru miesięcy. Częstokroć sprzedający odstępował nazbyt spieszącemu się nabywcy coś, co doń wcale nie należało. Trzeba było dłuższego czasu, by porządek przywrócić. O tem, czem dziś jest Casablanca, wszyscy wiedzą. Zbytecznem byłoby mówić o jej porcie i wielkomiejskości (w przeciwieństwie do Tangeru) harmonijnej, na której francuscy architekci wycisnęli piętno swego dobrego smaku, czerpiąc inspiracje w motywach krajowej architektury. Automobil w tym kraju zdystansował koleje. Drogi, wspaniałe dowody mądrej francuskiej gospodarki, pozwalają mu biedz w głąb kraju o każdej porze roku. Życzyć należy, by to było wiosną, gdy kwiaty przeróżne masami się wszędzie ścielą. Niestety, tylko piętnaście dni tej kwiatowej złudy. Zaraz potem Marokko pokazuje swe prawdziwe, drapieżne, spalone ognistem latem oblicze.

Z Casablanki auto niesie monotonnym bledem jakieś 200 klm., aż do wzgórz, z których rozpościera się jeden z piękniejszych widoków świata. W pośród wstęgi niebieskawej palm rozłożyło się różowe miasto na tle Atlasu, którego śniegi wiszą, jak wielka fala, gotowa spaść każdej chwili na płaszczyznę, a w przejrzystości powietrza tak bliska, iż ostatnie palmy miasta zdają się dotykać śniegów, mimo że dzieli je przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów od stóp gór. — Jak okiem sięgnąć, kubistyczna geometrja niedoodcyfrowania czworokątów wyobrażających wieże i tarasy, coś w rodzaju komórek w nierównym leśnym plastrze miodowym. Oto wielkie miasto Południa, gdzie Berberzy usiłowali spróbować życia miejskiego. Przywykli do namiotu, nie zdołali po przez osiem wieków, podczas których miljony tu żyły, zbudować nic więcej, jak olbrzymie obozowisko z suchego błota, w którem rodziny ich żyją dziś jeszcze z antyczną prostotą w sąsiedztwie najbliższem z osłem, kurą, mułem. (D. c. n.).

Fot. de Maziéres



...u stóp twych agawy w błękitnem powietrzu...

Młodzi chłopcy tańczą z mieczami.



AKTYWNOŚĆ WŁOCH



Trzy są może najwydatniejsze znamiona Włoch faszystowskich: karność organizacyjna, — duma z wielkiej przeszłości i nawiązywanie do idei Imperjum rzymskiego, — wreszcie wytężona praca techniczna w dziedzinach doniedawna uważanych za utopijne. Ilustracje nasze nawiązują do trzech momentów ściśle z temi znamionami związanych.

* * *

Rozkosz zapamiętałej karności, symbol służby w szeregach, choćby na najwyższem się było stanowisku, ukazuje nasze 1-sze zdjęcie: sekretarz generalny partji faszystowskiej poseł Achille Starace, pierwszy po Mussolinim człowiek w partji — trzyma wartę jak prosty żołnierz przy wejściu na wystawę dziejów faszyzmu „Mostra Fascista" w Rzymie.

* * *

Imperjum Rzymskie... Można się taką przeszłością upoić... A Włosi doniedawna, do roku 1922, tak mało pamiętali o niej! Mussolini budzi w nich dumę historji na nowo. Przypomina im wielką przeszłość na każdym kroku. Czy może być przypomnienie bardziej wyraziste od tych czterech olbrzymich map, które wywieszono na jednym ze starych murów Wiecznego Miasta?

Na pierwszej mapie niema prawie nic. Zaczątki Rzymu.

Na drugiej — państwo obejmuje całe dzisiejsze Włochy, dzisiejszą Grecję, Albanję, Hiszpanję.

Na trzeciej — przybył obszar obecnej Francji, połowa półwyspu Bałkańskiego, Azja Mniejsza, Palestyna, Egipt, Tripolis i Tunis.

Na czwartej — szczyt potęgi: Imperjum sięga od Atlantyku do morza Kaspijskiego, wchłonęło terytorja, które dzisiaj zwą się: Hiszpanja, Francja, Anglja, Belgja, Holandja, Szwajcarja, Austrja, Jugosławja, Rumunja, Bułgarja, Turcja, Mezopotamja, Syrja, Egipt, Tunis, Algier i Marokko... Morze Śródziemne stało się „Mare Nostrum"...

Przedstawiciele armji trzymają straż przy tych dziwnie wymownych ewokacjach przeszłości.

* * *

Littoria... Sabaudia...

Miasta — dziwy. Miasta, które powstały na rozkaz Mussoliniego w czasie rekordowo krótkim, w miejscach, gdzie dawniej nie ważyła się stąpnąć noga ludzka. Olbrzymie przestrzenie malarycznych błot zamieniono na obszary pól uprawnych. Zdrenowane, osuszone połacie kraju rozbrzmiewają wrzawą tysięcy robotników, terkotem traktorów, śpiewem żniwiarzy. Po Littorji przyszła kolej na siostrę jej, Sabaudję. Z lotu ptaka patrzymy na moment jej inauguracji, który stał się wielkiem świętem narodowem.

Włochom przybyło nowe centrum nowych obszarów rolnych, co zgodne jest z programem Mussoliniego: „frontem ku rolnictwu".





Z TEATRU

TEATR MAŁY

„Szczęście na poddaszu"

W teatrze Małym byliśmy świadkami katastrofy. Bohaterowie „Szczęścia na poddaszu" — to ludzie bez pieniędzy, artyści śniący o bogactwie, dobrobycie, w ostateczności o dobrym obiedzie. Cechy częste, braki przykre ale nie poniżające.

Gorzej jest jednak, gdy ludzie bez pieniędzy nie mają dowcipu, humoru, finezji i wdzięku. A jeszcze gorzej, gdy z tego rodzaju kapitałem dadzą sobie rendez-vous w teatrze i to nie na widowni, ale na scenie. Cóż winni młodzi aktorzy, gdy im tego rodzaju typki każe się „odgrywać" i „odśpiewywać", cóż winni, że zapał swój kładą „na serjo" i kładą się wraz z nim i ze sztuką.

Nie można mówić o wykonaniu, gdy artystów zaprzęgnięto do takiej nudnej bzdurności. Tem gorzej, że pomysł i założenie sztuki dawały pole do rozwinięcia się w miłą sentymentalną historyjkę.

Na tle chybionej komedyjki, nieskomponowanej operetki jeden był tylko fragment radosny i do oklasków zmuszający — to pełna wdzięku, subtelności Brochwiczówna! Żal było tej sylwetki, tego głosu, umiejętności śpiewania i rzetelnej pracy sympatycznej artystki — zasługującej na inne poddasze i inne szczęście.

L. Ch.



TEATR WIELKI

we Lwowie

pod dyr. W. Horzycy wystawił dramat K. Brończyka „Rejtan" w reżyserji Dąbrowskiego. Dekoracje A. Pronaszki. Scena w Sali Sejmowej (II akt).

Teatr Mały. „Szczęście na poddaszu". Karpiński, Ruszkowski, Brochwiczówna.



Fot. St. Brzozowski

Teatr Polski. „Awantura o Jolantę". Eichlerówna, Samborski.



JANUSZ MEISSNER

NA GŁUSZCE

(List z Wołynia)

IV.

Spadł w sam jej róg, pomiędzy ukrytą kurę a rywala z bagna. Odrazu nastroszył się, podskoczył i rzucił wyzwanie intruzowi:

— Kur-rau!

Czy to las się zawalił po tym okrzyku? Czy wpadły na siebie sosny, wyrwane dłońmi wielkoluda?

Trzask się zrobił straszliwy, łomot, huk! Pierś o pierś starły się dwa ptaki, waląc skrzydłami, rwąc pazurami, dziobiąc naoślep. Aż wiatr poszedł po krzakach, miotając czarne i zielone pióra. Wśród łopotu skrzydeł wylatywały w górę, jak rozpryski ziemi z pod pękających granatów. Kiepura nacierał wściekle. Podfruwał wyżej i, rzucając przeciwnika o ziemię, aż stękała, spadał nań zgóry, tarmosił, kuł dziobem, drapał, bił.

Walka oddalała się odemnie z każdą sekundą. Już zakryły mi ją krzaki i tylko raz po raz widziałem wylatujące świecą w górę łby i zielone szyje zapaśników.

I nagle wszystko ucichło. Zwycięski Kiepura otrząsnął się jak pies po kąpieli, zakrechtał i drobnym kroczkiem, krygując się, wybiegł z krzaków. Zatoczył łuk w lewo, w prawo, zakręcił się spiralnie na środku polanki, przystanął. Opuścił skrzydła, rozwinął wachlarz i, przestępując z nogi na nogę, zaklapał dziobem. Potem zaczął tańczyć, kabotyn: trzy kroczki w lewo, podskok z półobrotem i trzy kroczki w prawo. Był błazeńsko śmieszny ze swą powagą i dumą. Przejmował się tylko sobą. Gdybyż mógł się zobaczyć w lustrze: taki był podobny do człowieka w tej chwili.

Nie wiedziałem, czy według zasad myśliwskich mam prawo do niego strzelać. Wahałem się: a nuż stanowi to jakąś niewybaczalną gaffę? Żałowałem teraz, że niema ze mną pułkownika...

Nie miałem czasu się zdecydować: głuszcowi nagle strzeliło coś do łba, żeby przespacerować się pod krzak, za którym stałem. Popędził ku mnie, wlokąc po ziemi skrzydła, jakby go kto na sznurku ciągnął. Wyglądało na to, że mnie z kolei chce zaatakować.

Otarł się prawie o moje nogi i dopiero wtedy się obejrzał. Przez sekundę stał jak wryty, aż porwał się w szalonym popłochu w powietrze. Tuż za nim w dwie różne strony wystartowały: drugi kogut i kura z przeciwległego końca polanki.

Z za lasu, prześlizgując się między różowemi pniami sosen, wstawało ognisto-złote, roześmiane słońce.

* * *

Nie, nie żałowałem ani trochę, żem nie strzelał, choć — jak się okazało — nie byłoby to wielkim grzechem przeciw prawom świętego Huberta. Natomiast opowiadanie moje wywołało w nadleśnictwie sceptyczne uśmiechy pułkownika: takie historje z głuszcami nie zdarzają się codziennie.

— Który z twoich wydawców zamówił u ciebie tę walkę kogutów? — zapytał mój przyjaciel.

Obraziłem się.

* * *

Po południu poszedłem na zapady sam.

— Jutro albo nigdy — powiedziałem sobie.

Zasiadłem wcześnie, osłonięty koroną świeżo ściętej sosny, i, paląc papierosa, wsłuchiwałem się w znajome odgłosy puszczy.

Pierwszy głuszec przyleciał jeszcze przed zachodem słońca i zapadł w prawo odemnie o jakieś 100 kroków. Słyszałem, jak się poprawiał na trzeszczącej gałęzi. Potem z godzinę panował niczem niezmącony spokój, jeżeli nie liczyć obfitego ciągu słonek tuż nademną i przelotu kilku kaczorów.

Wkrótce po zachodzie słońca zapadł drugi kogut nawprost mego stanowiska. Posiedział chwilę, przeleciał na inne drzewo, bliżej mnie, poprawił się jeszcze i umilkł.

W dziesięć minut potem usłyszałem, jak na lewo, tam, skąd przyszedłem, ciężko, z wielkim hałasem zapada trzeci. Ten zaczął klektać i wreszcie po dłuższym namyśle zagrał z przerwami kilka pieśni.

Nie śmiałem odetchnąć głośniej, ani nawet palcem poruszyć: dwa ostatnie głuszce siedziały nie dalej, jak o 70 — 80 kroków każdy. Czekałem, aż się ściemni, aby się wycofać na drogę do gajówki Piecha i drżałem z obawy, że nie zdołam wykonać tego dość cicho.

Wtem usłyszałem za plecami jakiś szmer, po chwili zaś — tupot nóg i charakterystyczny kaszel kozła.

— Bodaj cię wilk zjadł — pomyślałem.

Ale wilka nie było pod ręką, a koziołek ani myślał odejść. Szwędał się tu i tam, tupał, kaszlał, pogwizdywał. To z jednej strony, to z drugiej obchodził stos sosnowych gałęzi, węszył i tupał znowu, jakby na złość. Życzyłem mu, żeby spuchł i nogi połamał, żeby go rodzony wuj kopnął i żeby mu rogi nie odrosły.

Nareszcie przestraszył się czegoś; może jeża, który przydreptał do mnie z wiatrem, obwąchał ostrożnie mój but i nagle rzucił się do ucieczki.

Tymczasem ściemniło się już całkiem i wąziutki sierp księżyca wyjrzał z za drzew. Gdzieś daleko ujadały psy. Żaby kumkały w bagnie i sennie brzęczały komary. Czasem jakiś duży chrząszcz zabuczał mi nad uchem, pędząc w las, jak pocisk.

Wstałem.

— Jak tu wyjść z pomiędzy głuszców, które obsiadły mnie dokoła?

Wolno, krok za krokiem, macając nogą przed każdem stąpnięciem, posuwałem się ku ścieżce. Omijałem troskliwie każdą gałązkę chróstu, każdą kępkę wrzosu i kluczyłem między ciemniejącemi plamami grząskiego, torfiastego gruntu.

200 metrów przebyłem w 20 minut. Potem już było łatwiej: dostałem się na suchą drogę, biegnącą wzdłuż polany, gdzie po raz pierwszy byliśmy na zapadach z pułkownikiem.

Zrobiło mi się lżej na duszy: obsadziłem trzy głuszce.

* * *

Wstałem przed pierwszą, starając się nie zbudzić pułkownika. Mógł spać jeszcze godzinę, bo wybierał się na nowo odkryte, bliskie tokowisko cietrzewi. Wychodząc, potrąciłem krzesło, które upadło z hałasem. Przyjaciel mój, napół obudzony, zaklął pod nosem i odwrócił się na drugi bok. Wtedy właśnie z pod koca wyjrzało pułkownikowskie kolano, szpiczaste, jak scyzoryk i przynoszące szczęście, jak sznurek wisielca. Od tego dnia przestałem wierzyć w kolanka pań, natomiast z całą ufnością odnoszę się do kolan panów (im chudsze, tem lepiej).

O pół do drugiej byłem już w gajówce Piecha, o pół do trzeciej zaś stanąłem „na stanowisku wyjściowem", jakby powiedział taktyk.

Było pochmurno i ciemno, ale zupełnie cicho i spokojnie. Po chwili usłyszałem stłumione klektanie i trel dwu pierwszych strofek pieśni głuszca. Przepuściłem jedną i drugą pieśń, żeby się rozegrał i ruszyłem pod trzecią naprzód w las.

Skakałem przez błotnisty brodek, potem przez zwały chróstu i przez zarośla, które wyrastały tuż przed moją twarzą z ciemności, aż dotarłem do wysokopiennego boru nad skrajem bagna. Wzrokiem szukałem drzewa, na którem grał mój głuszec. Odnalazłem je. Słyszałem teraz wyraźnie wszystkie strofki i serce waliło mi coraz mocniej, w miarę, jak podchodziłem od sosny do sosny, wciąż bliżej.

Wreszcie stanąłem pod sąsiedniem drzewem. Kogut grał jedną pieśń po drugiej, bez przerw.

Nie mógł mnie widzieć, bo zaczaiłem się za grubym pniem. Ale i ja nie mogłem go dojrzeć w czarnych gałęziach, mimo, że już świt rozproszył mroki. Grał wysoko, jak mi się zrazu zdawało — na samym wierzchołku. Aż się zachłystywał śpiewem.



Wtem przerwał. Znieruchomiałem z zadartą w górę głową i nagle — o radości! — zobaczyłem go. Czarny cień poruszył się na bocznym konarze, przesunął się w kierunku pnia, odwrócił się bokiem. Widziałem wyciągniętą szyję, rozpostarty wachlarz i skrzydła oklapłe wdół.

W tej samej chwili zaczął:

— Lek, — Lek, — Lek — Lek, lek, tertrrrrrrr - szilczylik - sik - szik-sziļikszilik - ścilik - sik - szil - szil - szylikczilik - cziiik!

Spróbowałem wziąć go na cel, ale jeszcze nie widać było muszki.

Postanowiłem czekać. Patrzyłem i słuchałem, jak gra. Gdy przerwał na chwilę, drżałem z obawy, że mnie dostrzegł. Ale on grał już znowu.

Nie umiałbym powiedzieć, jak długo to trwało: może dwie minuty, a może piętnaście, gdy nagle uwagę moją zwrócił szelest w krzakach gdzieś dalej, na bagnie. Wytężyłem słuch i pochwyciłem między jedną pieśnią a drugą ciche gdakanie kury...

Głuszec usłyszał je zapewne również, bo milczał długo, zanim zdecydował się na nową pieśń. Przepuściłem ją, nie ruszając się z miejsca, zmierzyłem pod drugą — muszki nie było widać — pod trzecią zwróciłem lufy na jasne tło nieba, pod czwartą przesunąłem na ciemną masę przylegającą do konara i pociągnąłem spust.

— Huk!

A potem — trzask, trzask i jeszcze raz trzask i — jęk ziemi pod ciężarem walącego się ptaka.

Ani drgnął. Strzał był dokładnie na komorę.

Stałem jeszcze przez chwilę oniemiały ze wzruszenia. Jeszcze nie chciałem wierzyć. Ale tak, to była prawda: leżał o 10 kroków przedemną.

Wtedy w dwóch susach przyskoczyłem do niego. Zdaje się, że śmiałem się głośno i gadałem coś do siebie. Na szczęście nikt tego nie słyszał. Kiedy przybiegł zdyszany Piech, byłem już spokojny.

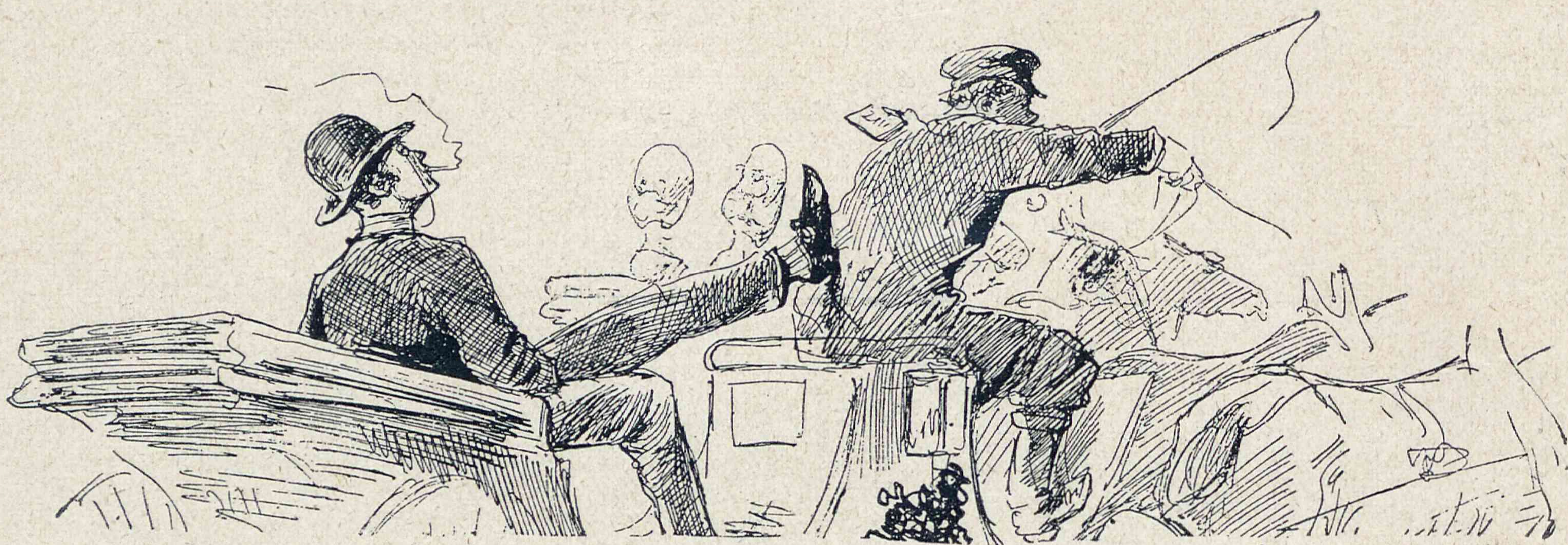
— Jest — odpowiedziałem na pytanie gajowego z taką nonszalancją, jakby to był conajmniej mój dwudziesty strzał do króla puszczy.

* * *

Wyjechaliśmy tegoż dnia wieczorem wagonetką Nusia do Maniewicz. Czekał nas jeszcze tydzień polowań na cietrzewie, słonki i kaczory w poleskich bagnach, między Chotową i Jasiołdą, u progu puszczy Różańskiej. Czekały nas nadbrzeżne mokre łąki, tak gęsto utkane kwitnącemi kaczeńcami, że wyglądały, jak szczerozłote w wiosennem słońcu. Czekały nas przepiękne wieczory na ciągu słonek, dokąd się idzie przez niebotyczny las świerkowy, przez zwalone gnijące w bagnie kłody brzóz, przez uschłe zeszłoroczne trzciny, szeleszczące metr nad głową myśliwca. Ranki na toku cietrzewim w zielonych budkach z jałowca, mokre od rosy i rozdzwonione skowrończym śpiewem. Noce na ostrowach wśród bagien, przy tlejącem ognisku, kiedy to ani na moment nie ustaje gwar błotnego ptactwa i kiedy sen ucieka pod rozgwieżdżonem niebem, po którem bryzgi srebra znaczą meteory. Czekało nas jeszcze siedem dni wolności i uciech myśliwskich.

Mimo to, z żalem żegnałem ukryty wśród lasów dom państwa Jaroszewskich. Gościnny, miły drewniany dom, w jakim chętnie spędziłbym resztę życia, kiedy już skończy się czas mojej służby wojskowej.

Niech mi wolno będzie raz jeszcze w tym „Liście z Wołynia" podziękować Państwu za ich gościnność, a Panu Stanisławowi za tego pierwszego głuszca, który stał się niewinną przyczyną aż tylu kolumn druku.



rys. *Kostrzewski*

KALENDARZYK WARSZAWY
Z PRZED PÓŁ WIEKU
Czerwiec 1884 rok

WIWAT DOROŻKARZ NR. 4!

„W dniu wczorajszym po wyścigach, plac Ujazdowski, na którym wciąż jeszcze otwarta jest wystawa rolnicza, zapełnił się, jak zwykle, liczną publicznością. Ukazały się też ekwipaże dotąd niewidziane.

Najwybitniejszą z nich były: karetka księcia Sachsen Altenburskiego i faeton p. Romanowskiego.

Następnie, odbył się wyścig dorożkarzy. Stanęły do niego 4 dorożki: numery 2, 4, 8 i 503.

Zwycięzcą został p. Mateusz Pękacki, właściciel dorożki Nr. 4.

Ostatnim był wyścig włościan, do którego stanęło siedmiu chłopków czerniakowskich.

Jutro ostatni dzień wystawy rolniczej".

POCZĄTEK URLOPÓW.

„Królikowski wyjechał na kurację do Karlsbadu."

ZWIERZYNIEC W BAGATELI.

„Tak więc w dniu dzisiejszym otwarty został zwierzyniec warszawski. Mieści się w posesji, nabytej obecnie przez współkę, a znanej w Warszawie pod nazwą Bagateli.

Grunt ten został niegdyś prawem dziedzicznem nadany przez Stanisława Augusta słynnemu malarzowi Bacciarellemu.

Po śmierci Bacciarellego posiadłość została sprzedana.

Za czasów Królestwa Polskiego nabył ją restaurator Chovot. Otworzył tu ogród dla zabaw publicznych i nadał nazwę, która dochowała się po dziś dzień.

Później Bagatela przechodziła w różne ręce. Jeden z nabywców Muchanow wybudował tam pałac. Z kolei nabywali ją hr. Szembek, Trubeckoj.

Otwarcie zwierzyńca nastąpiło o 12 w południe przy licznym udziale publiczności.

Ogół zwierząt wynosi 50 okazów. Wstęp dla dorosłych kopiejek 20, dzieci połowę."

KANALIZACJO, GDZIEŻEŚ?

Pod obiecującym tytułem „Minjaturowa Wenecja" znajdujemy następującą wiadomość:

„Ulewny deszcz, padający całą noc ubiegłą, spowodował, że wiele „uprzywilejowanych" ulic zamieniło się w rwące potoki.

Ulica Królewska na całej przestrzeni aż do Marszałkowskiej przedstawiała jedno głębokie jezioro, po którem dorożki brnęły aż po osie.

Przechodnie korzystali z usług posłańców, grających w tym razie role promów, lub też zdejmowali obuwie dla przedostania się na drugą stronę ulicy.

Kilka mostków, zerwanych parciem wody, pływało z całą swobodą po nurtach...

Kanalizacjo, gdzieżeś?"

POCZTA NA... BIUŚCIE.

„Powiadają, iż moda musi być kapryśna, chociażby z tej racji, że jest rodzaju żeńskiego.

Do nowych jej kaprysów należą staniki alpagowe, więc letnie, których przód w dwa rzędy stanowią wyobrażenia marek pocztowych.

Ktoś złośliwy, ujrzawszy jedną z dam w takim staniku, odezwał się dość głośno:

— No, ta dojdzie pod właściwym adresem, bo jest franco."

STUDNIA W OGRODZIE SASKIM.

„W dni gorące, szczególniej nad wieczorem, studnia w Ogrodzie Saskim znajduje się w formalnem oblężeniu. Ścisk bywa tu tak wielki, że podające wodę babki nie mogą się poruszać."

ZAMIAST WIANKÓW.

„Z powodu powodzi nie odbyło się tradycyjne święto wianków na Wiśle. Tylko jedna osoba puściła na spienione nurty rzeki wianek z takim wierszykiem:

Płyń, mój wianku... Tam w nizinie
Rozpaczliwe słychać echa,
Więc wraz z tobą niechaj płynie
Dla nieszczęsnych ta pociecha,
Że choć klęska spadła sroga
To otuchę naszą budzi,
Iż nad sobą mamy Boga,
A dokoła dobrych ludzi."

POLITYCY

Zarówno pan Władysław, jak i pan Stanisław mają dużo wolnego czasu i gdyby naprawdę tak było, jak twierdzą Anglicy, że czas to pieniądz, dwaj ci przyjaciele byliby zamożnymi ludźmi, nie zajmowaliby się nieswojemi sprawami i wogóle nie byłoby o czem mówić.

Jeżeli zaś panowie Władysław i Stanisław dysponują ogromnemi sumami czasu, to dzieje się tak dlatego, że zarówno jeden, jak i drugi należą do licznej, niestety, kategorji ludzi bezrobotnych.

Pan Władysław jest bezrobotnym starszego rocznika. Gdy pan Stanisław dopiero od pięciu miesięcy pobiera zasiłki z ZUPU, to pan Władysław już od pięciu miesięcy przestał pobierać, i jeśli w gwarze koszarowej starego żołnierza nazywają „zupakiem", to przydomek ten o ileż słuszniej należy się panu Władysławowi, gdyż mało kto tak, jak on, obijał progi ZUPU.

Gdy pan Stanisław rejestrował się, pan Władysław odbierał ostatni zasiłek/ Właśnie przy okienku ZUPU poznali się i tam zakwitł cudowny kwiat ich przyjaźni. Jako starszy bezrobotny, poniekąd weteran bezrobocia, pan Władysław pouczał pana Stanisława.

— Grunt, panie, nie podddawać się i trzymać fason. Nie płakać, nie jęczeć, nie narzekać, nie skomleć, nie biadolić przed nikim, bo to nic panu nie pomoże. Zapewniam pana, Ludzie dzisiaj nie są wrażliwi na takie rzeczy. A najważniejsze—nie opowiadaj pan nikomu, żeś bez pracy. Ani pary z ust nie puszczaj, bo jeżeli masz jeszcze paru przyjaciół, to ich momentalnie stracisz, jak amen w pacierzu. Gdy cię który zdaleka zobaczy, to przejdzie na drugą stronę ulicy. Jeżeli nie zdąży tego uczynić, to będzie patrzał w niebo, oglądał się na wszystkie strony, tylko nie w twoją, będzie zezował, byleby cię nie zauważyć i być przez ciebie niezauważonym. A pozatem, panie Stanisławie, powiedz mi pan: zabijać pan potrafisz?

— *Zabijać?* — wyszeptał wystraszony pan Stanisław.

— Tak, panie, zabijać czas. Oczywista, nie ludzi. To jest wielka umiejętność! Niech się panu nie zdaje, że bezrobotny bezrobotnemu równy. Być bezrobotnym to wielka sztuka. Kto wie, czy nie większa, niż pracować. Człowiek, nie pracując, musi sobie tak dzień ułożyć, czas podzielić i cały porządek życia nastawić, jakgdyby pracował. Trzeba nawet wmówić w siebie, że się jest zapracowanym. Trzeba nawet wmówić w siebie, że się odczuwa zmęczenie po pracy.

Te wywody pana Władysława trafiły panu Stanisławowi do przekonania i odtąd obaj panowie stali się nierozłącznymi przyjaciółmi.

Dzień w dzień, pogoda czy niepogoda, spotykali się rano, wspólnie robili dalekie spacery, kąpali się na dzikiej plaży, opalali się na słońcu, czytali dzienniki, z których wynotowywali tematy do dyskusji, rozwiązywali szarady i krzyżówki, układali pasjanse z jednej z dwóch talji, a wieczorem wracali do domu: pan Władysław na Grochów, pan Stanisław — na Ochotę.

Rej wodził i ton wszystkiemu nadawał pan Władysław, jako starszy bezrobotny i doświadczony. On układał program dnia; on zmieniał program, gdy niepogoda lub inna okoliczność stawała na przeszkodzie; on wybierał temat do dyskusji, on wynajdywał źródła taniego zakupu artykułów najniezbędniejszej potrzeby. W sprawach codziennych, praktycznych, pan Stanisław bez oporu poddawał się hegemonji pana Władysława, ale w dyskusji bardzo często miał swoje odrębne zdanie, czemu pan Władysław



był w gruncie rzeczy rad, gdyż otwierało to pole do dyskusji.

Jednym z tematów rozmów, które ponad wszelkie oczekiwania przeciągały się w nieskończoność, była wojna boliwijsko-paragwajska.

Gdy wojna wybuchła, pan Władysław z miejsca zadeklarował się jako zdecydowany stronnik Boliwji. Gdyby go zapytano, skąd te sympatje pro-boliwijskie, z pewnością nie umiałby tego wytłumaczyć.

— Czego się taki Paragwaj pcha? — mawiał. — Oberwie tak, że ruski miesiąc popamięta.

Pan Stanisław z początku zachowywał się neutralnie, ale gdy dzień w dzień pan Władysław bez przyczyny i powodu postponował Paragwaj, pewnego razu zapytał nieśmiało, przerywając układanie pasjansa:

— A cóż to Boliwja za mocarstwo, że wolno jej z Paragwajem wyprawiać, co jej się żywnie podoba. Jeszcze niewiadomo, jak ta wojna się skończy.

Pan Władysław na chwilę oniemiał. Poprostu zatknęło go. Nie spodziewał się spotkać z opozycją pana Stanisława.

— No bo po prawdzie mówiąc — dodał pan Stanisław — nigdyś pan tam nie był, boliwijczyka autentycznego z pewnością na oczy nie widział, a mówisz pan tak, jakby Boliwja była Bóg wie jaką potęgą.

— Potęga czy nie potęga, ale Boliwja to nie w kij dmuchał. Zawsze co Boliwja to Boliwja.

— A Paragwaj to Paragwaj. Także sroce z pod ogona nie wypadł. Nie uważam, aby Paragwaj był czemś gorszem od Boliwji. Lekceważy pan sobie ten Paragwaj, a on jeszcze pokaże, co potrafi. Ho, ho, Paragwaj to nie byle co.

— Nie byle co — powiadasz pan. Paragwaj to nic, to zero.

W panu Stanisławie w miarę, jak wojna przedłużała się, rodził się patrjotyzm paragwajski i rósł opór przeciw Boliwji i jej stronnikowi panu Władysławowi.

Tymczasem znowu urwały się wiadomości i o wojnie dwuch republik ucichło.

Pewnego wrześniowego popołudnia pan Władysław, zmęczony chodzeniem, wcześniej poszedł na swój Grochów. Pan Stanisław, korzystając z pięknej pogody, usiadł na ławce w Alei Trzeciego Maja. Obok pana Stanisława siedział jakiś starszy jegomość i czytał wieczorowe pismo.

Pan Stanisław mimowoli rzucił okiem na dziennik i zdębiał. „Porażka Boliwji. Paruset zabitych. Armja boliwijska uciekła w lasy. Wyżsi oficerowie w niewoli".

Szkoda było panu Stanisławowi paru groszy, ale kupił dziennik, aby dowiedzieć się szczegółów klęski Boliwji. Przeczytał raz, drugi i trzeci i serce pana Stanisława wezbrało dumą. Jego Paragwaj zwyciężył. Boliwja pana Władysława poniosła sromotną klęskę. A to jutro będzie dzień tryumfu nad panem Władysławem! Chyba że się nie pokaże.

Jutro? Dlaczego jutro? Dlaczego odkładać do jutra to, co może się dziś stać?

Niedługo namyślając się, pan Stanisław podreptał w stronę Grochowa.

Pan Władysław już spał. To nic. Nie poto przecież zrobił kilka kilometrów drogi, ażeby odejść z niczem. Szarpnął dzwonkiem raz i drugi. Pan Władysław otworzył oczy.

— Co się stało? — zapytał zaspanym głosem.

— Co się stało? Czytaj pan, to się dowiesz, co się stało.

Pan Władysław czytał, przecierał oczy i znowu czytał, znowu przecierał oczy i poraz trzeci czytał.

— No i co pan na to? — zapytał pan Stanisław.

— Ano... co mam powiedzieć... klęska... Człowiek nie może zdrzemnąć się godzinkę... Tylko zmrużyłem oczy... i patrzcie państwo, co się stało!

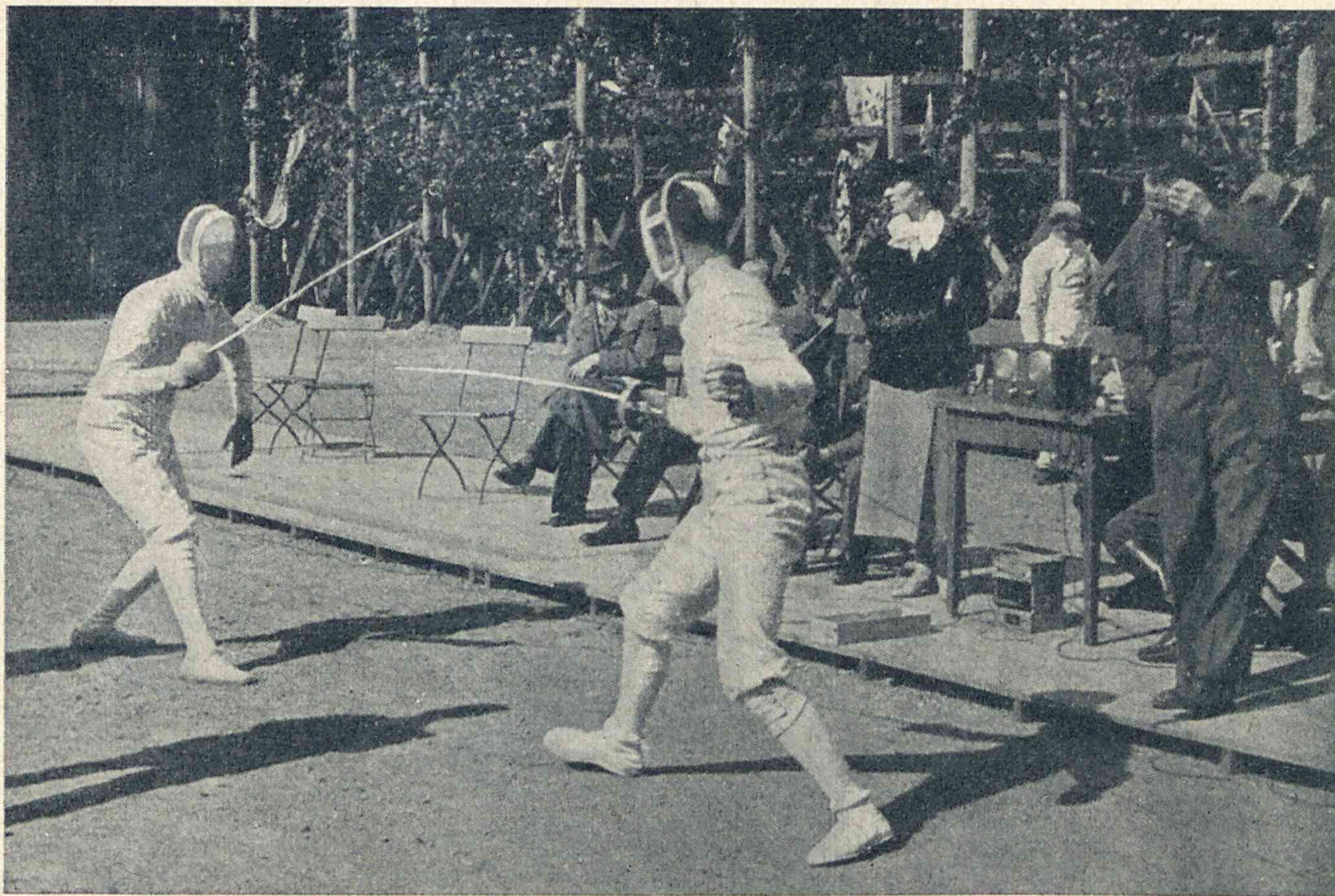
Termidor.

SPORTY

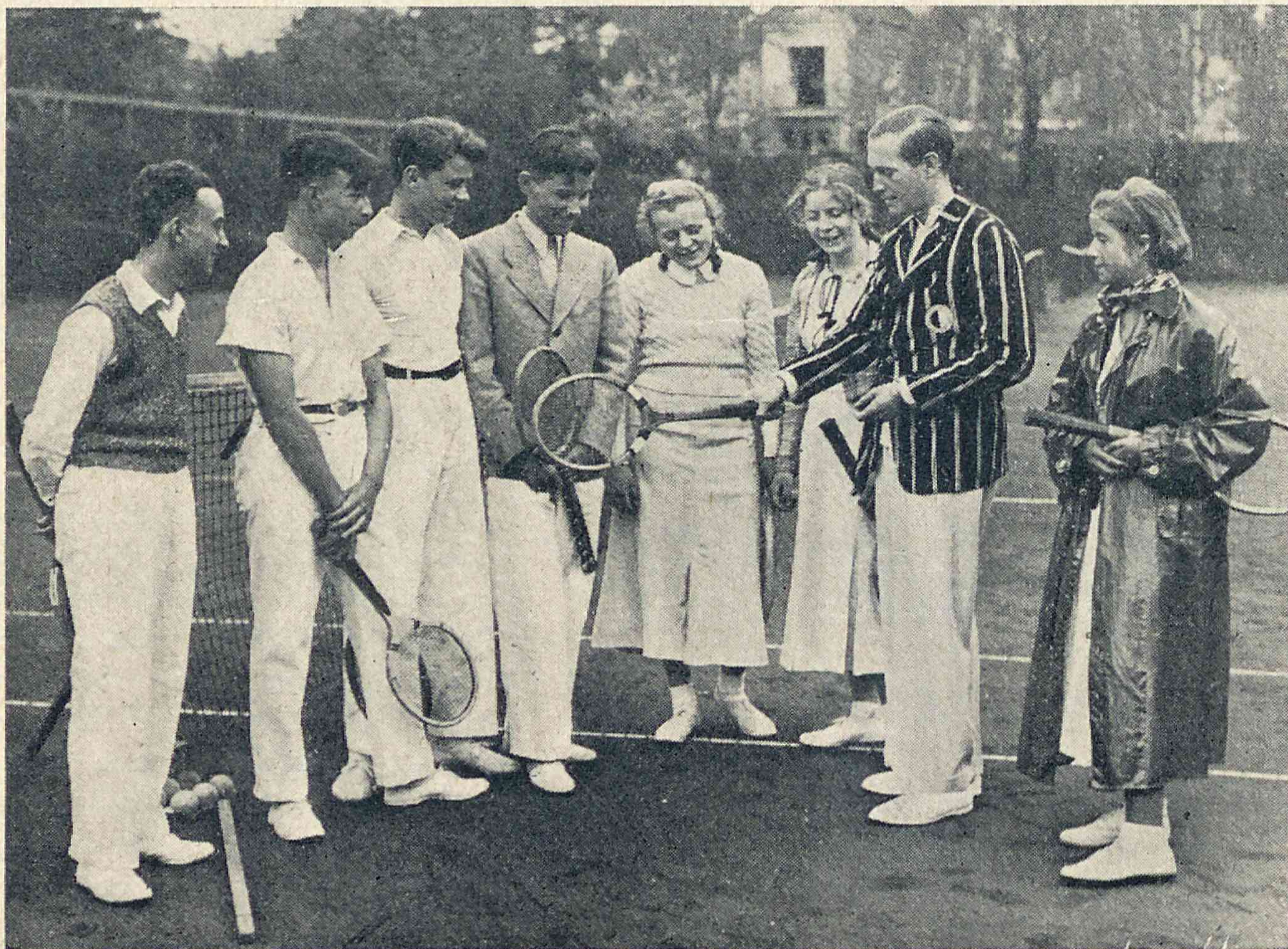
Szabla, floret, szpada krzyżowały się przez cały tydzień w pięknej siedzibie Warsz. Tow. Łyżwiarskiego — w Dolinie Szwajcarskiej.

Najpierwsi fechtmistrze świata starli się w rycerskiej walce, walcząc o palmę pierwszeństwa. Węgrzy, Włosi, Francuzi, Niemcy, Austrjacy, Grecy w zawodnictwach tych wysuwali się na pierwsze miejsca. Nasi zawodnicy walczyli z zapałem, wykazując znaczne postępy i zdobywając „w szablach" wybitny sukces, osiągając trzecie miejsce zespołowe, bijąc wszystkich, a ulegając tylko takim potęgom szermierczym, jak Węgrzy i Włosi.

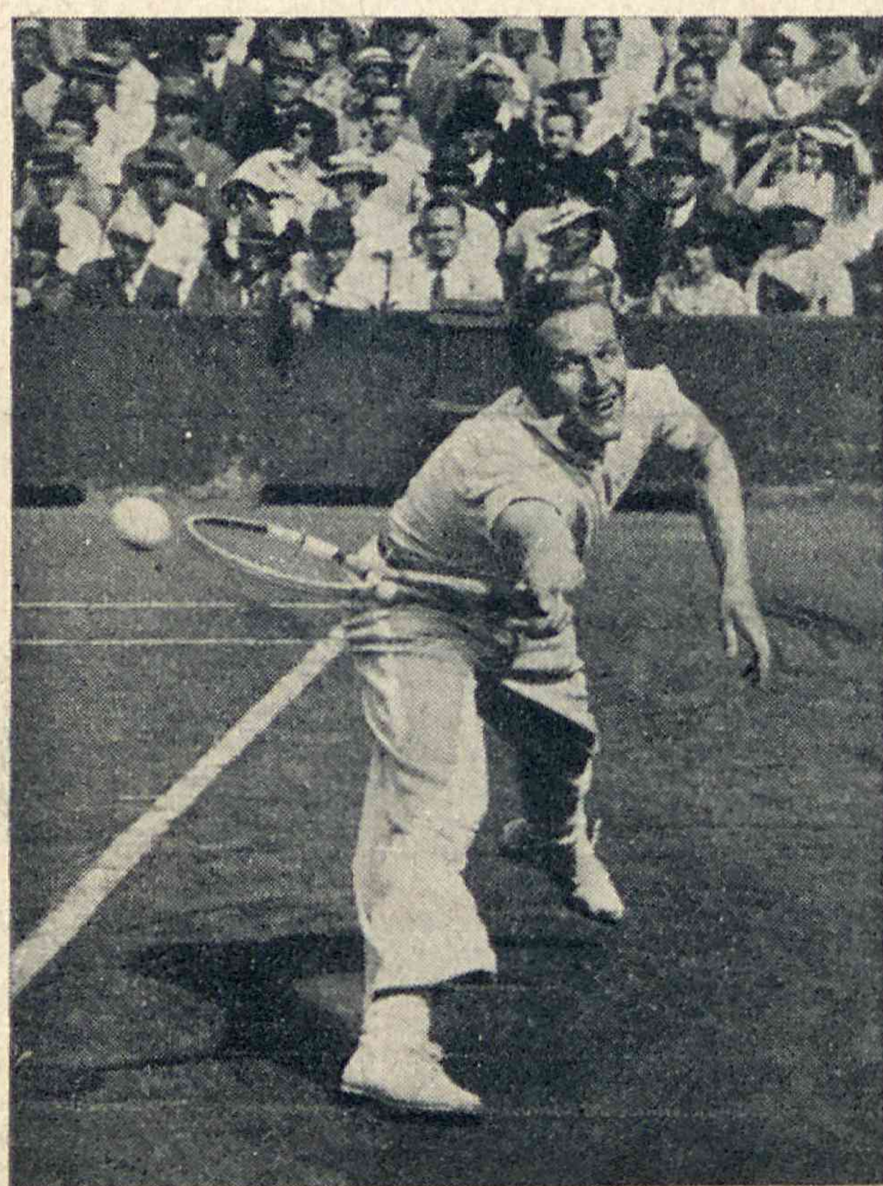
* * *



Fot Koch



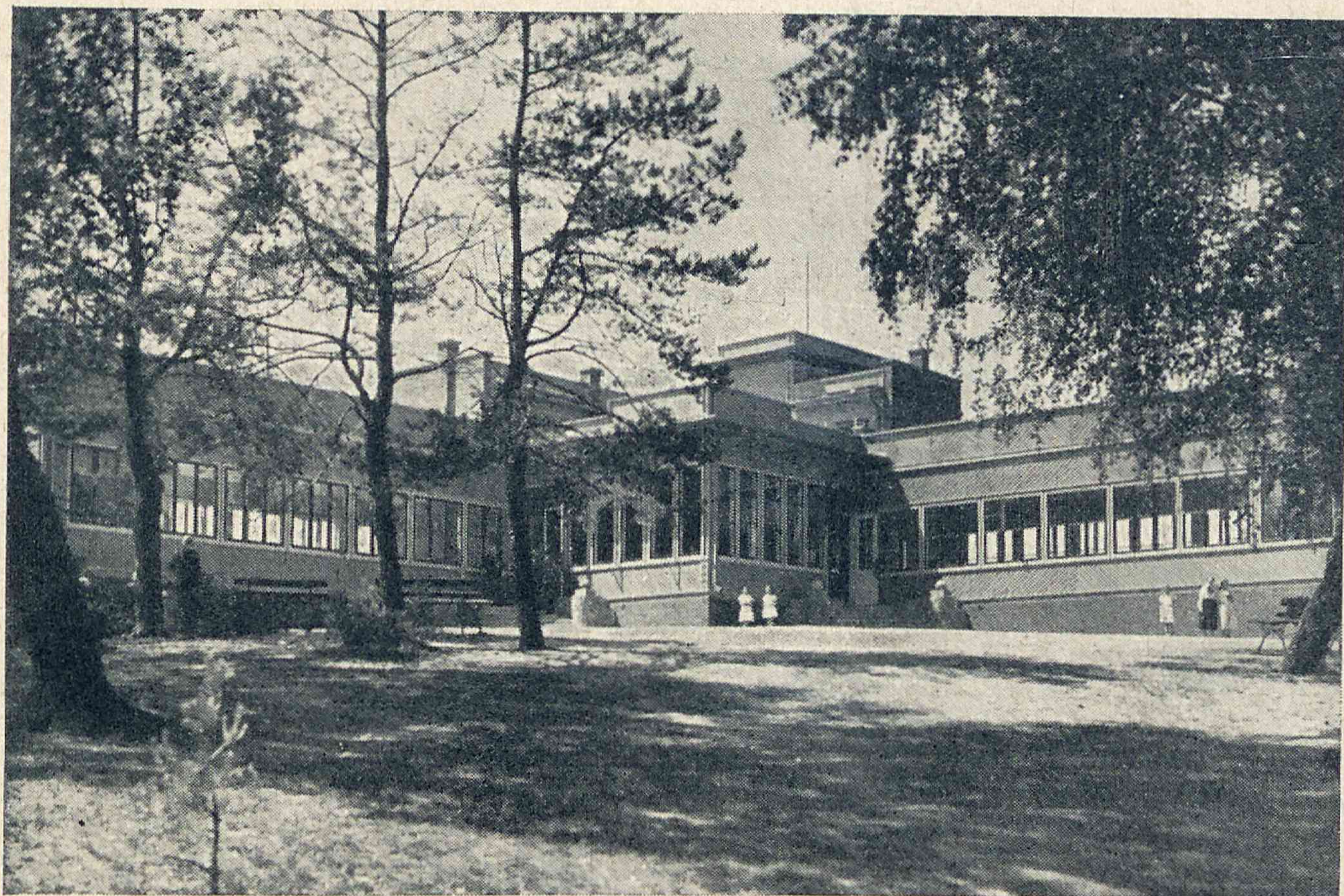
Champion tenisa niemieckiego — znany nam z kortów Legji von Cramm zdobył w Paryżu mistrzostwo Francji. Wielki ten sukces młodego i utalentowanego gracza nie przeszkadza mu być nauczycielem swoich młodych niemieckich kolegów. Na fotografji naszej von Cramm zaznajamia „narybek" niemieckiego tenisa z tajemnicami prawidłowego trzymania rakiety. Te „arkana" odsłaniane przez mistrza najlepiej świadczą, jak celowo i mądrze myśli się w Niemczech o szkoleniu przyszłych asów.



Ciekawy ruch von Cramma podczas walki o mistrzostwo Francji.

Derby w Epsom są zawsze wielkiem wydarzeniem w Anglji i gromadzą u startu liczne pole zawodników, a tysiące widzów na trybunach i wzdłuż barjer wyścigowych.





Widok ogólny Sierocińca. Fot. J. Malarski

SIEROCE GNIAZDO

Jedną z najpiękniejszych baśni Andersena jest „Dziewczynka z zapałkami". Jest to życiowa, prawdziwa opowieść o sierocie, która z mrozu i głodu zmarła na ulicy wielkiego miasta. Wypadki tego rodzaju zdarzają się niemal codziennie, a prasa informuje o nich kilkoma suchemi słowami, wciśniętemi gdzieś w końcu numeru.

Być może, że historję o dziewczynce z zapałkami przypomniało sobie w dżdżysty, jesienny wieczór dwoje samotnych ludzi, siedzących w zacisznie urządzonym pokoju. Może uderzające o szyby krople deszczu przypominały płacz dziecięcy, a może pan przeczytał właśnie w gazecie suchą wzmiankę o bezdomnej sierocie, dość że postanowili:

— Wszystkich sierot przygarnąć nie możemy, ale chociaż drobnej garstce zapewnimy opiekę i zdrowie, wyrwiemy z bezlitosnych rąk nędzy i zgubnych wpływów ulicy.

Tak powstał sierociniec w majątku Żaków. Piękna, na zasadach miłości oparta fundacja inżynierostwa Kazimiery i Maksymiljana Czapków, nazwana od imienia założycieli „Czapkowem".

W odległości kilkunastu kilometrów od Mińska Mazowieckiego wydzielono z majątku pp. Czapków czteromorgowy szmat lasu i mniej więcej przed rokiem zabrano się energicznie do roboty, by jeszcze tego lata już pierwsza grupa sierot mogła korzystać z błogosławieństwa przyrody.

Jak wygląda „Czapków"?

Las, słońce, piach, a o kilkanaście stajań rzeczka. Na niewielkiem wzgórzu obszerna, jednopiętrowa willa drewniana, utrzymana w jasnych kolorach. W jej wnętrzu kąpać się można w słońcu i nasyconem balsamem żywicy powietrzu. W skrzydłach widne, obszerne sypialnie z rzędami czyściuteńkich łóżek, przewietrzne jadalnie, których sam widok budzi apetyt, zwłaszcza po parugodzinnem hasaniu w lesie, czy rozrywkach sportowych. Patrząc na wesołe, wygodnie urządzone wnętrza, mimowoli żałuje się, że się nie jest sierotą i nie ma lat dziesięciu.

Z pięknej fundacji pp. Czapków korzystać będą sieroty partjami, po 50 mniej więcej dzieci obojga płci, czerpiąc w młode płuca balsamiczne powietrze, ucząc się trochę i zbytkując dowoli pod macierzyńską opieką wykwalifikowanych wychowawczyń. Sierociniec jest tak zorganizowany, że w ostateczności, w razie napływu maleńkich pensjonarjuszy, może przytulić ich przeszło setkę. I to wszystko dzięki dobroci dwojga ludzi, którzy nie odwołując się do niczyjej pomocy, sami wznieśli ten pomnik miłości bliźniego i sami go we wszystko wyposażyli.

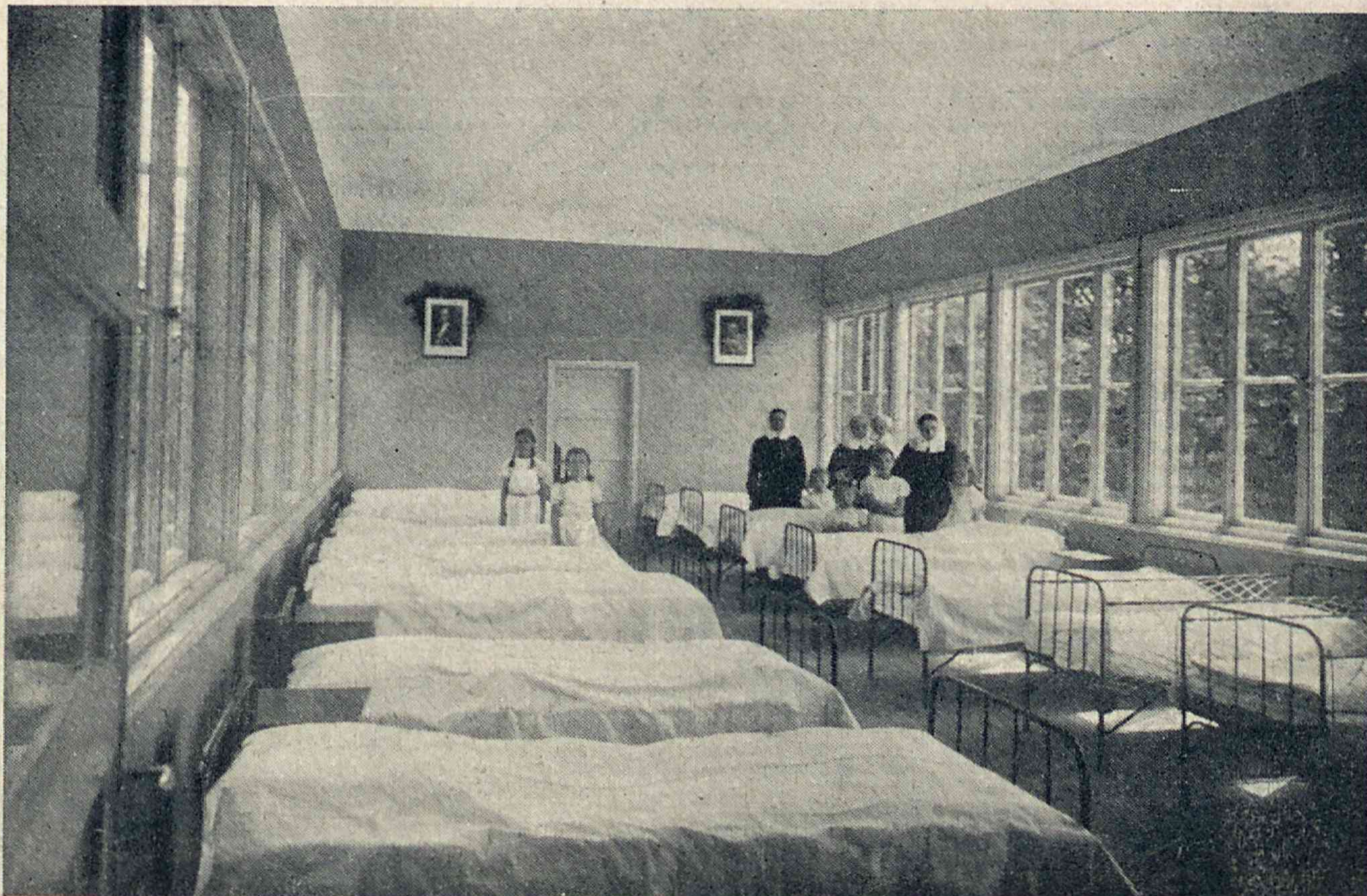
Na uroczystość otwarcia „Czapkowa" zjechało kilkaset osób z Warszawy i okolicy, by własnemi oczami obejrzeć to swego rodzaju dziwo. Bo w czasach, gdy dokoła panoszy się wyzysk, chciwość, żądza wydarcia życiu jak najwięcej, znajdują się ludzie, którzy robią coś pięknego, nie dla interesu, zaspokojenia ambicji, tylko dla dobra i przyszłości małych istotek, pozostawionych bez opieki na świecie.

Chciałoby się dużo pisać o sierocińcu, jego twórcach, lecz obowiązek sprawozdawczy przedewszystkiem. Więc przybyli na uroczystość wiceminister Opieki Społecznej p. Duch, starosta mińsko-mazowiecki p. Gadomski, delegat ministerstwa W. R. i O. P. dr. Sawicki, duchowieństwo, przedstawiciele prasy warszawskiej, miejscowe organizacje społeczne (bo i tym inż. Czapek nie szczędzi wydajnej pomocy) i inni. W przemówieniach podkreślano dobrodziejstwo fundacji, nazywając ją „darem bożym". Zabrał też głos i inż. Czapek. W słowach prostych kryło się jakby zażenowanie, że stworzył tylko tyle, że chciałby wszystkie samotne dzieci przygarnąć pod swój dach. Na koniec przemówiła sierotka Irenka, w naiwnym, lecz za serce chwytającym wierszyku, wyrażając wdzięczność w imieniu swojem i setek innych.

Od rana do nocy gwarno teraz w „Czapkowie". Małe sierotki baraszkują po lesie, pławią się w słońcu, a wybladłe do niedawna twarzyczki przybierają kolor złotawego bronzu. O wierzchołki sosen rozbija się szczebiot i śmiech dziecięcy, małe rączyny chwytają ochoczo za łyżki w godzinach posiłku, całemi ciałkami wchłaniają zdrowie, siły i radość.

J. S. W.

Sypialnia dziewcząt. Fot. J. Malarski



FESTIWAL TEATRALNY W MOSKWIE



Zasłużony artysta Aleksander Pirogow w roli Włodzimierza Galickiego w operze „Książe Igor".

Zwyczajem lat ubiegłych odbędzie się w Moskwie od 1-go do 10-go września b. r. zakrojony na olbrzymą skalę, z udziałem najwybitniejszych sił świata teatralnego Z. S. R. R. wielki festiwal teatralny.

Ktokolwiek tylko miał możność zetknąć się z życiem teatralnem Z. S. R. R. z łatwością stwierdzi, iż artyści i reżyserzy sowieccy, odrzuciwszy świetną tradycję dawnych teatrów rosyjskich, potrafili nie tylko utrzymać wysoki poziom przedstawień, lecz wprowadziwszy nowe elementy i sposoby ujmowania zagadnień, wznieśli sztukę sowiecką na wyżyny.

Ścisłością charakterystyki poszczególnych postaci, dokładnością opracowania gry, dostosowaną do potrzeb i wymagań realnego życia, — reżyserja sowiecka celuje oddawna.

Podejście muzyki operowej do konkretnych wyżyn dramatycznego wyrazu, a scenicznego słowa do najwyższego napięcia emocjonalnej siły, oto elementy, z których składa się nieustanny wysiłek sowieckich reżyserów i dyrygentów w opracowaniu oper, dramatów, komedji i innych widowisk z repertuaru wszechświatowego, lub ściśle sowieckiego.

Festiwal teatralny w Moskwie, podczas którego można będzie zapoznać się z najbardziej ciekawemi widowiskami sowieckich teatrów, niewątpliwie zainteresuje nietylko sfery intelektualne i teatralne całego świata, lecz wszystkich turystów, którzy chcieliby zwiedzić Moskwę, gdyż podczas trwania festiwalu uczestnicy zwiedzą godne widzenia zabytki, galerje sztuk pięknych, instytucje społeczne i kombinaty przemysłowe.

Organizacja wszelkich wycieczek oraz indywidualnych wyjazdów na festiwal teatralny w Moskwie spoczywa w rękach wielkiej organizacji turystycznej w Z. S. R. R. „Inturist", która w Polsce współpracuje z Tow. „Wagons-Lits-Cook", „Orbis" i „Francopol".

Program festiwalu teatralnego został ustalony następująco:

1 września zostanie wystawiona w Wielkim Teatrze Z. S. R. R. opera „Książe Igor" — A. Borodina. 2 września odegrana będzie w teatrze im. E. Wachtangowa „Interwencja" — L. Sławina. 3 września w Wielkim Teatrze Z. S. R. R. „Płomień Paryża" — balet B. Asafjewa. 4 września poranek w Teatrze dla dzieci „Murzynek i małpa" — N. Saca i S. Kazanowa. Tegoż dnia wieczorem w Państwowym Żydowskim Teatrze „200.000" Szalom Alejchema. 5 września w drugim moskiewskim teatrze artystycznym „12-ta noc" W. Szekspira. 6 września przedstawienie wyjazdowe operowego teatru im. K. S. Stanisławskiego w pałacu Kultury proletarjackiej, opera „Cyrulik Sewilski" Rossini'ego. 7 września w teatrze im. Ws. Mejerholda „Dama Kameljowa" A. Dumasa-Syna. 8 września w Państwowym Teatrze Małym „Jara miłość" K. Trenewa. 9 września w Teatrze Kameralnym „Tragedja optymistyczna" W. Wiszniewskiego. 10 września w teatrze artystycznym im. M. Gorkiego „Igor Bułyczew" i inne sztuki.

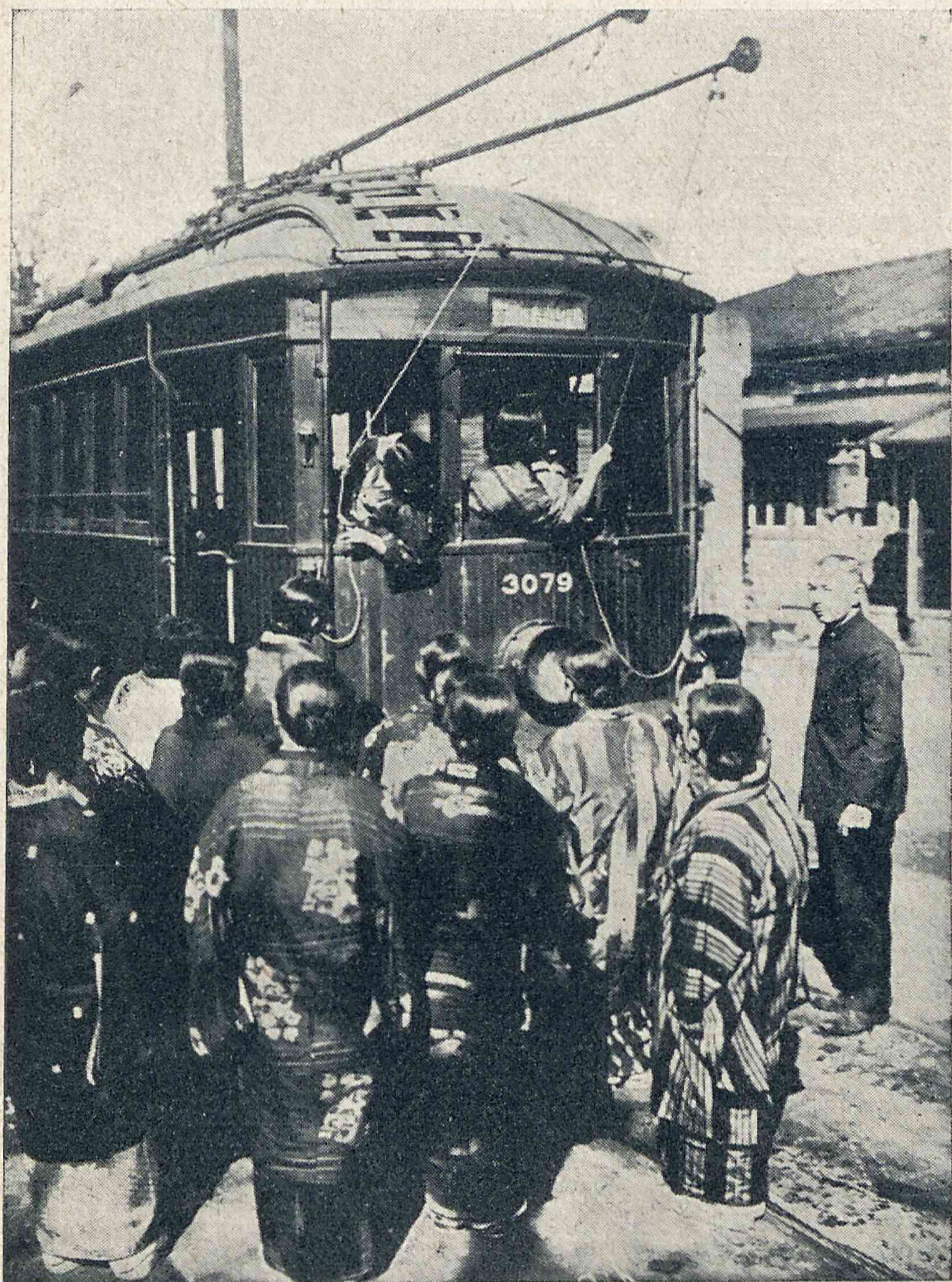
Równocześnie w teatrach moskiewskich zostaną wystawione inne nie mniej godne uwagi opery i sztuki, a więc w teatrze artystycznym im. M. Gorkija „Dni Turbinych" M. Bułgakowa, w państwowym teatrze małym „Don Karlos" F. Schillera, w teatrze im. E. Wachtangowa „Intryga i miłość" F. Schillera, w państw. teatrze kameralnym „Maszynal" Sophie Treduell, w 2-gim teatrze artystycznym „Śmierć Iwana Groźnego" A. Tołstoja, w teatrze im. Ws. Mejerholda „Las" A. Ostrowskiego, w teatrze Simonowa „Talenty i wielbiciele" A. Ostrowskiego, w Państwowym Nowym Teatrze „Uriel Acosta" — Guckowa, w teatrze „Krasnoj Presni" — „Rozpęd" W. Stawskiego, w teatrze Zawadzkiego „Uczeń djabła" Bernarda Shaw'a.

W widowiskach tych biorą udział najlepsze siły artystyczne każdego teatru, jak np. znani i zasłużeni artyści: C. M. Michaels, W. N. Paszennaja, Z. N. Rajch, A. S. Koonen, L. M. Leonidow, A. I. Czaban, P. N. Berseniew, A. S. Pirogow, baleryna M. T. Siemionowa i inni.

„Carmen" Bizeta. Pierwsza odsłona I-go aktu.



HODOWLA NIEDOŁĘGÓW I TYRANÓW



Kobiety samodzielne: drobne Japonki współzawodniczą z mężczyznami na wielu polach: oto widzimy je w roli konduktorów tramwajowych w Tokio.

„Hodowla niedołęgów", list p. Anny S., wywołał już dłuższą dyskusję na łamach „Świata". Zamieszczamy dzisiaj jeszcze jeden głos poświęcony tej sprawie — głos broniący z przekonaniem dawnego typu mężczyzn, u których, jak twierdzi, „nieumiejętność przyszycia guzika może być uważana za wdzięk". Interesowałoby nas, czy Czytelniczki nasze zgadzają się z tą opinją.

Płeć nadobna znów jest niezadowolona z mężczyzn!

Nie należy to wprawdzie do nowości, bo już Ewa była mocno nadąsana na Adama, ale zawsze, zawsze to jest kłopotliwe. Któż bowiem, jak nie mężczyzna, jest przeznaczony, by radował serca niewieście? A jednak nie miał i nie ma uznania, nie cieszy się dobrą sławą...

W ostatnie miesiące nasze publicystki, beletrystki, społecznice wytoczyły tyle oskarżeń pod adresem rodzaju męskiego, że mogły niemi ostudzić niejednego Don-Juana, Don-Kichota, czy Falstaffa. Teraz na łamach „Świata" toczy się dyskusja na podobny temat. Znów mężczyzna otrzymuje cierpkie uwagi za swoje wady, znów biada się nad jego wychowaniem. Z głosów tych wynika, iż współczesny mężczyzna — to naogół niedołęga. Jest to prawie powszechna opinja naszych pań, utrzymujących, że nawet guzika nie umiemy sobie przyszyć!

Niedawne to jednak czasy, gdy mężczyzna uchodził zawsze za tyrana. Sufrażystki angielskie, walcząc o prawa polityczne kobiet, srodze cierpiały przez „tyranję męską". Tak „potworną" była ta tyranja, że chwytały się aktów terroru. Więziono je później w londyńskiem więzieniu Holloway, a one z dumą nosiły na ramionach oznaki tego... męczeństwa dla sprawy.

Któż ze starszego pokolenia nie pamięta bohaterki tych czasów Mrs. Pankhurst? Ileż to serc niewieścich porwała ta bojowniczka emancypacji!

U nas w Polsce ruch emancypacyjny kobiet nie przybierał form tak jaskrawych, jak w Anglji. Ale i u nas zdarzały się okazje, by walczyć z tyranją przywileju społecznego, obyczajowego, ustrojowego, jakim „obwarował się" mężczyzna.

Wojna przetworzyła stosunki ludzkie. Siłą wydarzeń, kobiety znalazły się w fabrykach, laboratorjach, biurach, wyższych uczelniach, parlamentach. „Tyran" uległ nie wiecom, odezwom, lecz potrzebom rzeczywistości. Mężczyźni wojowali, kobiety musiały ich zastąpić przy warsztatach pracy!

Zmiana nastąpiła bez żadnych manifestacji. Czy zadowoliła kobiety? I tu tkwi właśnie pytanie.

Niewiasty starszego pokolenia wierzyły, jak słynne bojowniczki emancypacji z rodu Coornveltów, iż „wyższy rozwój duchowy kobiet i równouprawnienie obu płci zapewni im szczęście i nada bogatą treść ich smutnemu życiu". Niestety, nie ziściły się te nadzieje.

Nowe, powojenne pokolenie kobiet „odrzuca wszystko, co zostało zdobyte z takim trudem, i pragnie powrócić do dawnych czasów potulnego poddaństwa (?), jako że stanęło wobec okrutnej lekcji życia, pouczającej, iż szczęścia nie daje się osiągnąć żadnemi czarodziejskiemi formułkami, ani żadnemi zasadami myślowemi". (Jo van Ammers-Kuller: Kobiety z rodu Coornveltów — Pochód krzyżowy kobiet). Sygryda Unset w słynnej powieści swojej p. t. „Pani Hjelde" przychodzi do podobnych konkluzji. Karin Michaelis w utworach swoich powojennych uderza w identyczne struny. A nasze beletrystki? Czyż obciążać artykuł ten licznemi wypisami?

Gromiąc wady męskie, wzdychają przecież te wyzwolone, wolne niewiasty:

„O Boże, Boże, jakież to piękne, jakie mądre, tak zupełnie i na zawsze ulec miłości!"

A więc znów odwieczny motyw, stara, ograna i wiecznie żywa a brzemienna w treść historyjka. Chciałyby się jej przeciwstawić niektóre niewiasty. Marzą więc o... tygrysach, lwach, wspaniałych zwierzętach, zwyciężających kobiety i biadają nad niefortunnem wychowaniem mężczyzn.

Dawniej byli to tyrani, teraz są... niedołęgi, nie umiejący sobie przyszyć guzika. Trzebaby więc zreformować wychowanie chłopców, by ustrzedz ich od... upośledzenia, by mogli w przyszłości dorównać swoim partnerkom przy... przyszywaniu guzików.

Zagadnienie stosunku między mężczyzną a kobietą w ten sposób sprowadzono do... guzika.

Czy to jednak jest ideą dyskusji? Czy z tego powodu są niezadowolone z nas nasze Panie?

Gdy sarkały na tyranję męską, wiedzieliśmy, co o tem sądzić. Gdy wyrzucają nam niedołęstwo, musmy przyjąć to również z dobrodziejstwem inwentarza.

Bo i jakże inaczej przyjąć te oskarżenia?

Wiemy bowiem niezależnie od tego, co pisze się i mówi publicznie, iż bywają chwile, gdy kobiety są zadowolone a nawet szczęśliwe za sprawą mężczyzn. Nieumiejętność przyszycia guzika nie jest w tych wypadkach wadą a może być wzięta za cnotę lub wdzięk. Kochająca kobieta lubi być potrzebna, nieodzowna, konieczna dla swego tyrana i... niedołęgi, lubi się... poświęcać.

Czyż mężczyzna może odmówić pani swego serca tej przyjemności?

Hodowla niedołęgów i tyranów — to zawiła sprawa. Nie dało sobie rady z nią tyle pokoleń, czyżbyśmy chcieli przerywać wątek jej dziejów?

Eustachy Czekalski.

KRONIKA TOWARZYSKA



W dniu 23-go czerwca r. b. w kaplicy prywatnej pałacu biskupiego w Łucku, J. E. Ks. Biskup dr. Adolf Szelążek udzielił sakramentu małżeństwa, zawartego między p. Aleksandrem Woytkiewiczem, b. radcą finansowym Ambasady Polskiej w Waszyngtonie, b. Dyrektorem Departamentu Obrotu Pieniężnego Ministerstwa Skarbu, oraz p. Władysławą z Jagminów 1-o voto Reynelową, właścicielką maj. Bielany, ofiarodawczynią zbioru dzieł sztuki na rzecz Muzeum Narodowego w Warszawie, protektorką Zakładu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą, twórczynią nagrody literackiej im. ś. p. Leona Reynela za najlepszy utwór dramatyczny. Przy obrzędzie ślubnym asystował J. E. Ks. Biskup St. Walczykiewicz oraz Ks. Kan. J. Szych.



EUROPEJSKIM POCIĄGIEM DO SPAŁY

Na 12-ym torze Dworca Głównego Warszawy lśni sznur pięknych, nowych wagonów pociągu wycieczkowego, mającego przebyć w pierwszym rajdzie środkowo - europejskim 4 wielkie stolice Zachodu (Berlin, Bruksela, Paryż, Wiedeń), 1 wielki światowy port handlowy (Marsylja), „Błękitne wybrzeże" Riviery francuskiej i dwa stare piękne miasta Włoch północnych: Medjolan i Wenecję.

Wydział turystyki ogólnej Ministerstwa Komunikacji pragnie umożliwić prasie zapoznanie się z tym pociągiem i urządził dla ludzi pióra krótką półdniową wycieczkę do Spały.

Jak szybkie oka mgnienie minęła wycieczka. Zgromadziła blisko 80 osób z prasy warszawskiej i z pośród korespondentów pism zagranicznych. Gośćmi zajęły się serdecznie panie i panowie z Wydziału turystyki ogólnej M. K. z dyrektorem Podworskim, red. Lepeckim i Delinikajtisem, nacz. Grelichowskim, konsulem Wyszyńskim i radcą Piwońskim na czele.

Wagony pociągu niosą nas cicho i wygodnie po przez płaszczyznę podwarszawskiej okolicy. Przebiegamy Skierniewice i Koluszki i wjeżdżamy w lasy ku Spale ciągnące.

W pociągu wesoło i miło. W wygodnych przedziałach odchodzi brydż, to znowu rozpoczyna się flirt z pięknemi paniami, lub omawianie ostatnich spraw i wydarzeń świata i Warszawy. Krzyżują się miłe słówka z pytaniami o lot Adamowiczów, lekka sprzeczka brydżowa z wieściami z Niemiec.

Zwiedzamy pociąg.

W pysznym wagonie dancingowym jazz ciągnie do tańca. Sprawna służba częstuje lekkiemi przekąskami i napojami.

Ze szczególniejszem zainteresowaniem wchodzimy do wagonu - łazienki. Jest to, o ile nas znajomość spraw nie zawodzi, pierwszy wagon - łazienka w środkowej Europie.

Wagon - łazienka wywiera doskonałe wrażenie. Na zewnątrz to czteroosiowy wygodny Pullman, dostosowany do potrzeb kąpielowych gospodarczym sposobem przez warsztaty kolejowe w Krakowie - Płoszowie. Wewnątrz wagon mieści w sobie minjaturowy salonik, ślicznie wykonany w czysto krakowskim stylu. Po obu skrzydłach saloniku tusze — 6 ogółem i dwie wanny. Kabinki biało lakierowane, czyściutkie, bardzo wygodne. Troskliwość o potrzeby kąpiącego się nadzwyczajna. Wygodna rozbieralnia oddzielona jest od samej kabinki jasną zasłoną z nieprzemakalnego materjału. Wanny bardzo są wygodne, tusze doskonale działające, wszędzie termometry, kraty na podłodze i chodniki.

Kotłownię objaśnia nam jej wykonawca p. werkmistrz Janiszewski. Kotłownia mieści w sobie 3 zbiorniki obliczone na 7 metr. sześć. wody, zbiornik na powietrze o ciśnieniu 5 atmosfer. Wagon rozporządza swą własną, ciepłą i zimną wodą, a tylko na wypadek wyczerpania się sich zapasów może je wagon uzupełniać „pożyczkami" czerpanemi w biegu pociągu z parowozu.

Trudno nie skorzystać ze sposobności: bierzemy tusz, stwierdzamy znakomite działanie urządzeń kąpielowych i rześwi opuszczamy wagon w Spale.

Lasy wyglądają prześlicznie: pełne ciepłych promieni słonecznych, miłych, wilgotnych pasem cienia, gwaru ptasiego, radują oczy, uszy i serce.

Mili gospodarze Spały z kpt. Ropalewskim na czele zapraszają nas najpierw do olbrzymiej, drewnianej, bardzo pięknej hali sportowej na lekką zakąskę, a potem najpiękniejszemi częściami lasu spalskiego do dworku Pana Prezydenta.

Idziemy nad leniwą, pełną słonecznego złota, Pilicę, gwarzymy chwilę nad nią pod legendarnym „Grzybem", zwiedzamy piękny kościołek drewniany w r. 1925 wystawiony i wpadamy na chwilę do dworku P. Prezydenta.

Przechodzimy sale i salki pełne trofeów myśliwskich, zatrzymujemy się na chwilę w gabinecie pracy P. Prezydenta. Nie możemy się tutaj oprzeć podziwowi: na olbrzymiem biurku ozdobionem rzeźbionemi drobiazgami mosiężnemi o myśliwskim charakterze dworku, spostrzegamy stosy książek. I „Quo vadis Europa" Knickebrockera i sprawozdania Banku Gospodarstwa Krajowego i tajemnicze dla laików dzieła chemiczne... Widać, że Gospodarz dworku nawet i tutaj, na dalekiem odludziu, pracuje bez wytchnienia.

Naprzeciw biurka piękny głuszec malowany przez Ejsmonda.

Z okien dworku śliczny widok na dalekie lasy... Ale czas do domu, czas, już wołają nas...

Z żalem opuszczamy spalskie odludzie, wsiadamy w radjowy pociąg i wracamy do Warszawy.

Po drodze zapoznajemy się pokrótce z planem pracy Wydziału Turystycznego M. K., przedstawionym nam przez jego dzielnego dyrektora inż. Podworskiego, dziękujemy serdecznie za miłe chwile w pociągu i Spale spędzone i stajemy w Warszawie.

Dobrze i przyjemnie pół dnia spędziliśmy. *(Szcz.)*

PORADY KOSMETYCZNE

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Marji B. z Lublina. Dla jednolitego i estetycznego opalenia się konieczne jest używanie kremu tłustego, np. Kremu Sportowego--Antiba, który zabezpieczając skórę od zbytniego zaczerwienienia się i wysuszania pod wpływem wiatru lub słońca, przyspiesza równocześnie opalenie się. Krem Sportowy-Antiba jednocześnie przeciwdziała opierzchnięciu i oparzeniom.

P. Zygmuntowi M. — Warszawa. O ile przyczyną wypadania włosów u Pana jest łojotok, radzimy wcierać w skórę głowy płyn Pilosan-Antiba, który usunie łupież i nadmierny tłuszcz. Stosowany wytrwale bezwzględnie zapobiegnie dalszemu wypadaniu włosów.

„Wychowawczyni" — Radom. W zupełności podzielamy zdanie Pani o konieczności wpajania w dziatwę szkolną zasad codziennego pielęgnowania jamy ustnej. Znakomicie konserwuje i oczyszcza zęby pasta, proszek lub mydełko „Dentosan" z pomocą miękkej szczoteczki, gdyż ta nie kaleczy dziąseł.

Święto „Błękitnej Armji“

Chlubną i niezapomnianą kartę w walkach o niepodległość Polski posiada t. zw. „Armja Błękitna", która utworzyła się we Francji z emigrantów polskich i pospieszyła na pole walki.

W tych dniach odbył się w Równem drugi koleżeński zjazd b. „Błękitnych żołnierzy", zorganizowany przez Stow. Weteranów Armji Polskiej we Francji.

Ze wszystkich stron Polski — z Warszawy, Poznania, Śląska, Małopolski, Wołynia — specjalnemi pociągami przybyli na uroczystość uczestnicy zjazdu w liczbie około tysiąca. Uroczystości rozpoczęły się solenną mszą polową, odprawioną na placu ćwiczeń 45 p. S. K. przez biskupa pol. Gawlinę. Na obszernym placu ustawiła się cała 13 dywizja — na prawem zaś skrzydle, jako wspomnienie dawnych bojów — kilku żołnierzy w przedwojennych mundurach francuskich, bajończyczy, rouejczycy i wreszcie błękitni.

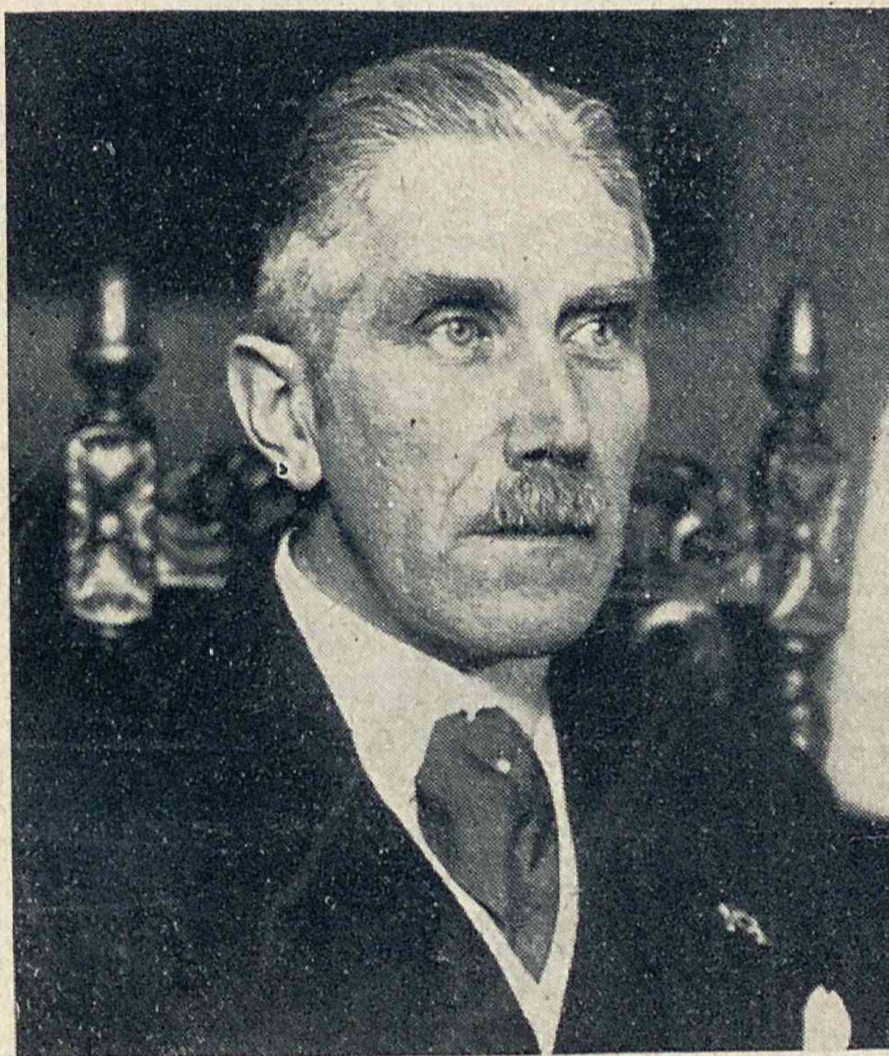
Po nabożeństwie odbyło się odsłonięcie pomnika Marszałka Piłsudskiego, wykonanego przez znanego rzeźbiarza E. Wittiga, poczem prezes Stowarzyszenia Weteranów b. Armji Polskiej we Francji płk. Markus przybił na drzewcach sztandaru 43, 44, 45 p. p. odznaki Stowarzyszenia. Odznakę tę otrzymał również 13 p. a. I., jedyny pułk w Polsce, posiadający sztandar, przywieziony jeszcze z Francji. Dowódca dywizji i prezydent miasta otrzymali srebrne ryngrafy.

Uroczystość zakończyła się defiladą w obecności wojewody gen. Knolla, przedstawicieli władz państwowych, oraz attachés wojskowych francuskiego i amerykańskiego, po której przyjmowano gości w kasynie i na obiedzie żołnierskim. Podczas obiadu odczytano życzenia pomyślności dla zjazdu i dywizji, nadesłane przez Marszałka Piłsudskiego.

Popołudniu w „Domu Żołnierza" odbyło się zebranie koleżeńskie, na które m. in. przybyli biskup Gawlina, gen. Knoll i płk. Markus. Ten ostatni wygłosił płomienne przemówienie, opowiadając o latach poniewierki i tułaczki, dziejach powstawania wojska polskiego na obczyźnie i o swoich pierwszych walkach.

W drugim dniu zjazdu odbyła się konsekracja kościoła, ufundowanego kosztem dywizji, oraz konkursy hippiczne, na które przybyły tłumy publiczności z Równego i okolicy.

ZACHODZĄCE I WSCHODZĄCE GWIAZDY HITLEROWSKIEJ RZESZY



Dobrowolnie nieopuszczający domu wicekanclerz von Papen.



Prezydent Hannoweru Lutze, mianowany następcą Roehma.

LOTNICTWO

We Francji pod Paryżem na lotnisku Buc odbyła się dnia 24 czerwca uroczystość 25-lecia przelotu Bleriota przez kanał La Manche na samolocie „Bleriot Nr. 11", który pierwszy połączył drogą powietrzną starą Anglję z kontynentem europejskim.

Obecnie ambicją Francji stało się opanowanie Atlantyku Południowego przez zaprowadzenie ponad nim regularnej komunikacji lotniczej. Powstała nawet specjalna „Komisja Transatlantycka".

Czynniki kierujące lotnictwem Italji przystępują obecnie do racjonalizacji lotnictwa handlowego, czego wyrazem jest stworzenie specjalnego urzędu w ministerstwie lotnictwa, oraz stworzenie specjalnego urzędu do badań zagadnień lotnictwa stratosferycznego.

Lotnictwo handlowe niemieckie (Deutsche Lufthansa) rozwija się imponująco, ze swemi „błyskawicznemi połączeniami", obsługiwanemi przez samoloty, rozwijające szybkość przelotową 300 klm./godz.

AUTOMOBILIZM.

Dnia 24 czerwca odbył się staraniem Automobilklubu Śląskiego bardzo ciekawy rajd górski, t. zw. „jubileuszowy" na trasie: Katowice, Oświęcim, Kocierz, Bielsko, Mikułów, Katowice.

I miejsce otrzymał p. Błaszczyński na Fiacie 508, II miejsce p. Korfanty na Fiacie 518.

Dnia 8-go lipca odbędzie się pod protektoratem pani Ministrowej Beckowej Corso samochodowe w Łazienkach przy współudziale Automobilklubu Polski, Polskiego Touring Klubu i Polskiego Związku Motocyklistów.

MOTOCYKLIZM.

W niedzielę, dn. 24 czerwca, odbyły się na torze „Legji" emocjonujące wyścigi motocyklowe, w których brało udział 2 Niemców, stanowiących w swej ojczyźnie extra klasę; jednak panowie: Eiszer i Binder - Saam, startując na maszynach o słabym litrażu 250 cc., ponieśli porażkę od naszych zawodników, którzy startowali na maszynach 500 cc., co stanowi kolosalną przewagę; — temniemniej p. Emil Schweitzer przez swą brawurę i technikę jazdy zasłużył bezspornie na zwycięstwo, oklaskiwane gorąco przez rozentuzjazmowaną publiczność w liczbie około 10.000.

Staraniem Polskiego Klubu Motocyklowego odbył się dnia 24 czerwca V Raid (jednodniowy) dookoła Województwa Warszawskiego (303 klm.).

Inowację stanowił regulamin, który wprowadził na wzór imprez samochodowych t. zw. „Kilomètre lancé" odpowiednio punktowany (za każdy klm. nadrobiony 1 punkt dodatni).

I miejsce w ogólnej klasyfikacji za najlepszy wynik dnia zdobył p. Kazimierz Jurkowski (P. K. M. Rudge).

I miejsce w kat. 350 cc p. Kozakowski (P. K. M. Rudge).

I miejsce w kat. 500 cc. p. Nowak (P. K. M. Rudge).

W grupie motocykli z wózkami I miejsca w swych kategorjach zajęli p. Truskolaski (P. K. M. Rudge) i p. Rynkiewicz (P. K. M. Harley Davidson).

M. d. L.

Zgon znakomitej uczonej polskiej



Dn. 4 b. m. zmarła w Sancellemor nad Rodanem wszechświatowej sławy uczona polska, odkrywczyni radjum i polonjum, Marja Curie-Skłodowska, przeżywszy lat 67.

Urodzona 7 listopada 1867 r. w Warszawie, po ukończeniu gimnazjum, udała się na dalsze studja do Paryża. Wielką naukową karjerę rozpoczęła z zapałem w laboratorjum chemicznem, w Sorbonie, gdzie została wkrótce asystentką swego przyszłego męża prof. Curie.

Oboje dokonali epokowego odkrycia — radu, za co w r. 1903 otrzymali nagrodę Nobla. Toż same odznaczenie przyznano Curie-Skłodowskiej po raz drugi w r. 1911.

Warszawa ma wielki dług wdzięczności wobec uczonej. Dzięki jej ofiarności, stolica Polski uzyskała własny instytut radowy.

Lokal Orbisu ozdobą Wiednia

W samem sercu Wiednia przy Kärntnerstrasse pod Nr. 41, otwarty został uroczyście w sobotę 30.6. 1934 r. piękny reprezentacyjny lokal Orbisu.

W otwarciu wzięli udział: min. Bobkowski i b. minister Twardowski, austrjacki minister handlu Stockinger, prezes Zarządu Gł. Orbisu Wilczek i szereg zaproszonych z Polski i Austrji gości.

Lokal wiedeńskiego oddziału Orbisu został wykonany według projektów prof. Jastrzębowskiego.

Oto co o urządzeniu tem mówi poważny dziennik wiedeński „Reichspost".

„Do lokalu Orbisu prowadzi świetnie, wzorowo urządzone wejście. Witryny wejścia zawierają znakomite zdjęcia z wszystkich dzielnic Polski, począwszy od wybrzeża Bałtyku, poprzez wnętrze kraju, aż po wysokogóry tatrzańskie. W małych witrynach widać najrozmaitsze, cenne drobiazgi artystyczne i przemysłu ludowego. Ponad witrynami unosi się 6 rzeźbionych w drzewie tarcz herbowych wielkich miast polskich. Pełne smaku wejście oparte jest na projekcie prof. Jastrzębowskiego. Wzbogaca ono oblicze naszego miasta. Jest ono godną widzenia próbą nowoczesnej architektury, przedstawiającej doskonałe połączenie potrzeb i wymagań eleganckiej ulicy spacerowej i wielkiego wnętrza. Projekt prof. Jastrzębowskiego umie czynić zadość i jednym i drugim potrzebom."

Prasa i społeczeństwo wiedeńskie przyjęły nową placówkę bardzo serdecznie, i wróżą jej należyte powodzenie.

Zabawa w Café Sim podczas Święta Morza

Święto Morza zyskało w tym roku jeszcze jedną imprezę, która ze względu na swój poziom i ciekawy program zasłużyła na szczególną uwagę.

Oto w piątek, 29 czerwca, piękny i rozległy pod otwartem niebem teren kawiarni „Sim" przy ul. Królewskiej przemieniono na port „Sim", w którym zakotwiczono okręt tej samej nazwy, zbudowany i udekorowany przez polskich malarzy-artystów. Z kapitańskiego pomostu o niesamowitych przygodach ostatniej podróży okrętu „Sim" opowiadał jego kapitan, świetny artysta Małkowski, posługując się dowcipnym tekstem T. Wittlina.

Doborowa publiczność, która wypełniła nietylko teren ogrodu i pomieszczenia okrętowe, lecz i salony Sim'a, miała do swojej dyspozycji jeszcze barwnie udekorowaną plażę. Na tej plaży odbyła się pięknie pomyślana rewja mody plażowej, która dała nam złudzenie pobytu na srebrzystem wybrzeżu naszego morza. W rewji tej p. *Elektorowiczowa w modelach przez nią kreowanych* raz jeszcze wykazała, że wytrwale prowadzi propagandę polskich tkanin z zastosowaniem haftów regjonalnych łowickich Artystycznego Rękodzieła Wsi.

Sim wykazał, że teren jego świetnie nadaje się do zabaw i podobnych imprez.

W praktyce było jeszcze gorzej.
Niższe yj-
ne iń-
ski dla
deko i tło
dla wa W
m by-
ła izo-
wa tacje
przę rozwoju —
to największe ułatwienia, a niewąt-

Jubileuszowe wydawnictwo „Lotu"

Z okazji pięciolecia istnienia polskich linji lotniczych ukazała się pamiątkowa księga „Lotu", obrazująca w szeregu artykułów dzieje naszego lotnictwa cywilnego, jego rozwój i zamierzenia na przyszłość, oraz coraz donioślejsze znaczenie w życiu turystycznem i handlowem.

Wydawnictwo zredagowane w językach polskim i francuskim zdobi mnóstwo ilustracji, a strona graficzna (piękny papier, estetyczna czcionka i artystyczny fotomontaż) pozwala zaliczyć księgę „Lotu" do wytworniejszych druków.

Równocześnie ukazał się w estetycznej szacie letni rozkład Polskich Linji Lotniczych.

PRZEDWOJENNY WIEDEŃ NA EKRANIE





Bywalcy kinowi pamiętają jeszcze dwa znakomite obrazy z okresu filmu niemego „Królowa niewolników" oraz „Indyjski grobowiec", produkcji znanej austrjackiej wytwórni „Sascha". Obecnie wytwórnia ta wykończyła wspaniały film dźwiękowy p. t. „Maskarada", który będzie prawdopodobnie rewelacją sezonu.

Akcja „Maskarady" rozgrywa się w rozbawionym, roztańczonym przedwojennym Wiedniu w r. 1905-ym. Ujrzymy dawny Wiedeń w blasku mundurów armji cesarskiej, wesoły, nie troszczący się o jutro, lekkomyślny, pogodny. W nocnych lokalach leje się szampan, a tancerki tańczą „Modnego" kankana. Stroje z przed lat trzydziestu: szerokie kapelusze, długie suknie, przybrane bogato koronkami, wcięte talje — słowem, epoka tortury gorsetu i niewygody.

Atmosfera „Maskarady", przesycona melodjami straussowskich walców, intryżkami, skandalikami i miłostkami. Bohaterami filmu są: urocza, stuprocentowa Wiedenka — Paula Wesely, oraz świetny amant Wohlrück. Pozatem w obrazie bierze udział ośmiuset statystów, w stylowych kostjumach i strojach z r. 1905-go. Ilustrację muzyczną wykonała orkiestra Filharmonji wiedeńskiej na motywach walca, skomponowanego przez Willy'ego, Schmidt Gettnera.

„Maskarada" ukaże się niezadługo na ekranach Warszawy i całej Polski.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 56 (346) Arytmograf na „Święto Morza“

Ułożył N. K. Kozłowski.

(Za rozwiązanie 20 punktów).

7.24.15.22.3.12.5.26 27.15.13.14.15.5.26 3.7.6.24.6.28.8.12.5.26 29.1.6 7.6.4.14.19
15 23.15.2.22.3.2.21.8.15, 7.24.15.22.3.12.5.26 27.15.13.14.15.2.26 29.1.6.18 22.19.2.3.12.10
17.15 14.9.8.24.6.4.25.22.3.4, 24.6.27 1.8.15.19, 7 24.15.22.3.12.5.26 23.15.1.15.5.26 29.
1.6 1.2.3.4.22 8.2.3.4.24 11.4.3.11.2.3.4.2*.24.6.4 2.9.3.22.24.21.8.15, 1.21.14.22 21.10.4.
2.3.15 7 23.15.22.3.12.24.15.5.26 6 13.2.15 1.9.22.3.21.23. 20.14.15.13! 1.2.9.22.8.9. 3.
3.15.8.9.19 6 13.10.12.24.22 19.6.4.25 24.15 11.15.17.8.12.19. 6. 3. 20.15.14.6, 1.4.17.24.
4.25 3.17.9.8.12.5.26 11.21.2.22.3.8.12.24.16.7, 11.6.25.18.5.4.25. 9 26.4.14, 24.15. 23.9.2.
3.15, 24.15. 15.8.14.15.24.8.12.19. 6. 10.15.14.4.25, 6. 10.15.14.4.25, 24.6.4.5.26. 3. 23.15.
22.3.8.16.7. 24.15.22.3.12.5.26. 5.3.4.2.7.6.4.24. 17.9.1.0.5.4. 6. 11.6.4.14!

Posługując się podanym kluczem pomocniczym, zastąpić cyfry w arytmografie odpowiedniemi literami, które, jako rozwiązanie, dadzą utwór poetycki, ośmiowierszowy.

Klucz pomocniczy:

a) 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 2. 1. 10. 9. 7. 6. 4. 5. Okręt wojenny do zwalczania torpedowców.

b) 11. 2. 12. 13. 9. 14. 4. 8. 15. Żaglowiec dwumasztowy.

c) 1. 16. 17. 11. 18. 19. Mała łódź dwuwiosłowa.

d) 20. 21. 22. 8. 15. Dawny rodzaj lekkiego statku.

e) 11. 9. 22. 23. 15. 24. Podoficer na statku.

f) 25. 15. 5. 26. 8. Lekka żaglówka spacerowa.

g) 8. 15. 19. 6. 4. 14. 15. 27. Ogół lin, znajdujących się na okręcie.

h) 1. 6. 28. 29. 30. Kułak.

№ 57 (347) Łamigłówka kolumnowa

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1	□		□	
2	□		□	
3	□		□	
4	□		□	
5	□		□	
6	□		□	
7	□		□	
8	□		□	
9	□		□	
10	□		□	
11	□		□	
12	□		□	
13	□		□	
14	□		□	
15	□		□	
16	□		□	
17	□		□	
18	□		□	
19	□		□	
20	□		□	
21	□		□	
22	□		□	

W daną figurę należy wpisać poziomo 22 pięcioliterowe wyrazy o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Lewy dopływ Bohu. 2. Dawna złota moneta około 12 franków. 3. Suka. 4. Pusty, jałowy. 5. Sól kwasu octowego. 6. Sztuki czarodziejskie, gusła. 7. Gwałtowny orkan na Oceanie Indyjskim. 8. Inaczek kura (wspak). 9. Klamra, zwora. 10. Kwiatostan niektórych drzew. 11. Wdychanie. 12. Mieszkaniec wysp Sandwickich. 13. Choroba dróg oddechowych. 14. Łańcuch gór na Syberji. 15. Pieniądze w ulicznej gwarze. 16. Pędziło, zaganiało. 17. Tłuszcz zwierzęcy. 18. Rodzaj tańca. 19. Rodzaj grzyba (wspak). 20. Gatunek zboża. 21. Szczyt gór. 22. Żarłacz.

№ 58 (348) Zagadki

(Za rozwiązanie 7 punktów).

Dwie litery oraz przyrząd gimnastyczny,
Taniec polski — ognisty, prześliczny.

*

„Dowidzenia miły panie „lotnik“!
Pono z ciebie taki wielki psotnik,
Że widząc, jak dama na główce go wije,
Objąć zamierzasz łabędzią jej szyję!

*

Nie z początku, bo na końcu,
Królewsko wygląda na słońcu.

Rozwiązanie zadań

№ 46 (336). ZADANIE KOLUMNOWE.

1. Atuty, 2. Rycyk, 3. Omami, 4. Katar, 5. Tjara, 6. Kusza, 7. Stleć, 8. Żyrny, 9. Orbis, 10. Malec, 11. Staje (wstecz), 12. Ruryk, 13. Strug, 14. Wyspa, 15. Zwrot, 16. Wieja, 17. Model, 18. Psina, 19. Inwit, 20. Poseł. — Ty maju, ty raju, ty wiosno! Ty marzenie, ty upojenie!

№ 47 (337). WYSUWANKA.

„Tak jak bezczynność jest najgorszą trucizną dla duszy, praca jest najlepszem lekarstwem na wszystkie jej cierpienia“.

№ 48. (338). KRZYŻÓWKA MAGICZNA.

1. Pieluchy, 2. Skaryszew. 3. Perszeron. 4. Śniegowce.

TRAFNE ROZWIĄZANIA ZADAŃ
№ 46 — 48
(ŁĄCZNA ILOŚĆ 13 PUNKTÓW)
NADESŁALI:

Grenicheux, Władysław Kostro, Marja Strubel, Czesław Kołowski, Henryk Silczyński, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), Dorota Herbstmanówna, Kazimierz Lilpop, Zenon Brenek, Fr Wiśniewski, Feliks Kowalski, Romuald Żak, N. K. Kozłowski, Józef Zbyszewski (Kraków), Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Popławski, Zofja Suchecka (Radom), Wład. Stock (Pińsk), Józef Małecki, Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz), Henryk Walewski (Lwów), Ola Borman, Janina Rowińska, Karol Waldenberg, (Łódź), Stanisław Tański, Tadeusz Noskowski, Wiktor Sawicki, Jerzy Halski, Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski, Jan Kowalski, Gertruda Wolska.

NAGRODY OTRZYMALI:

Kazimierz Lilpop (Warszawa) — książkę,
Jan Rudziński (Warszawa) — książkę,



— Ależ nie proszę Pani szklanka jest myta i czysta — to tylko woda taka zabrudzona.

CENY OGŁOSZEŃ W „ŚWIECIE"

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, $^1/_2$ 300, $^1/_4$ 150.—, $^1/_8$ 75
„ III „ 450.—, $^1/_2$ 225, $^1/_4$ 112.50
„ IV „ 600.—, $^1/_2$ 300,
Za tekstem . . . . . . Zł. 600, $^1/_2$ 300.—, $^1/_4$ 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa